POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień **Dnia 16-go maja 1942r.** **Rok IV. Nr. 20**

Jesteśmy dziećmi jednej kultury

Owego dnia letniego, kiedy w pół wieku przed narodzeniem Chrystusa pierwsze kohorty inwazyjne Juliusza Caesara wylądowały na brzegu brytyjskim, stała się rzecz, której napewno nie uświadamiał sobie ani wódz rzymski, ani bohaterscy obrońcy wyspy. Oto nurt dziejów duchowych Brytanii wpłynął w łożysko kultury łacińskiej, aby się już z nią nie rozłączyć.

To nic, że inwazja Caesara była właściwie nieudała i tylko przejściowa, poprzedzając jednak trwałą okupację, która nastąpiła w sto lat później; że po dalszych czterech wiekach Rzymianie w ogóle opuścili Brytanię, wyparci przez plemiona germańskie. Kultura łacińska już tam zapuściła korzenie, chrześcijaństwo i późniejszy podbój normandzki jeszcze ją utrwalił.

Tak oto dwa tysiące lat temu weszła Anglia do rodziny narodów, które po duchowych swych rodzicach, Grecji i Rzymie, odziedziczyły wspaniały spadek cywilizacyjny. Spadek, wyrażający się nie tylko w zabytkach rzymskich, ale przede wszystkim w charakterze kultury narodu i w duchu jaki ją przenika.

W tysiąc lat po podboju Brytanii i właśnie prawie tysiąc lat temu—dokonała kultura łacińska nowej inwazji, zwycięskiej i trwałej. Ale tym razem nie posłużyła się mieczem, nie doszła do swego celu po trupach. Przyszła jako królewskie wiano, wniesione władcy Polan przez oblubienicę z nad Wełtawy. Przyszła pod znakiem miłości i ta miłość była rękojmią jej zwycięstwa. W ten sposób, wraz z chrześcijaństwem przyjęła Polska kulturę łacińską i spokrewniła się duchowo z innymi spadkobiercami tej kultury. Między innymi z Anglią.

* * *

Czy jednak ta wspólna naszym obu krajom kultura łacińska ma jeszcze dzisiaj cechy rzeczywistości? Czy jej uzasadnienie historyczne zbytnio nas nie sugestionuje i nie nadaje w naszych oczach kształtów realnych czemuś, co jest już tylko cieniem przeszłości?

W ubiegłym roku wypadło mi polemizować z p. Ksawerym Pruszyńskim, który w jednym ze swych artykułów wyraził nadzieję, że po wojnie "Polacy będą stanowili część wielkiej wspólnoty ludów o kulturze anglosaskiej." Zauważyłem wtedy, że jeżeli istnieje jakaś odrębna kultura anglosaska, to tylko w tym znaczeniu, że jest to kultura zachodnia czyli łacińska, która na wyspach brytyjskich i w Ameryce Północnej przesiąkła pewnymi znamiennymi cechami Anglosasów. Podobnie jak kultura francuska jest również kulturą łacińską "w wydaniu francuskim." Dlatego nie godziłem się z p. Pruszyńskim, gdy przeciwstawiał kulturę łacińską Polski kulturze brytyjskiej, której posiewem zajmą się w kraju żołnierze polscy po powrocie z Anglii i Szkocji. Polska bowiem ma swoją własną postać kultury łacińskiej, związaną z gruntem polskim i z duszą polską, ale w istocie jest to ta sama kultura łacińska, którą szczyci się naród angielski.

Myślałem o tym wspólnym dziedzictwie, które jednak nie zawsze sobie dostatecznie uświadamiamy, przechodząc pod kolumną Nelsona na Trafalgar Square: wraz ze swą rodzoną siostrą, warszawską kolumną Zygmunta, wywodzą się one z rzymskich kolumn Trajana czy Marka Aureliusza.

Ale to tylko wymowny symbol. Pomnikami nierównie wymowniejszymi są języki polski i angielski, które—choć z różnych pochodzą gniazd—oba przesiąkły łaciną, jak kulturą łacińską przesiąkły mówiące nimi narody. Wiemy przecież, że w średnich wiekach i w dobie renesansu znaczenie łaciny było wśród społeczeństwa angielskiego równie wielkie jak wśród polskiego.

A cóż dopiero mówić o literaturze. Od Chaucera poprzez Shakespeare'a do Swinburne'a i od Biernata z Lublina, Janickiego, Kochanowskiego poprzez Słowackiego do Wyspiańskiego, Rostworowskiego i Wierzyńskiego—piśmiennictwo angielskie i polskie nie byłoby sobą, straciłoby jeden z najistotniejszych swych elementów, gdyby usunąć z niego pierwiastek klasyczny. Czym byłaby literatura bez Ajschylosowego Prometeusza, nieśmiertelnego symbolu ducha, wiecznego rewolucjonisty? O ile uboższy byłby Mickiewicz i Shelley. Lady Macbeth i Balladyna zawdzięczają swe istnienie Klitemnestrze tragika greckiego.

Zresztą mówić o znaczeniu czynnika klasycznego w obu literaturach, znaczyłoby przedstawiać cały niemal rozwój tych literatur, czego oczywiście teraz nie mam zamiaru czynić. Można łatwo zestawić ze sobą poszczególne okresy historii piśmiennictwa angielskiego i polskiego, by przekonać się o podobieństwie wpływów grecko-rzymskich. Ograniczę się do wskazania na podobieństwo klasycyzmu elżbietańskiego i naszego wieku złotego; hellenizmu romantyków angielskich — Byrona, Keatsa i Shelleya—i równie gorącego stosunku do Grecji ze strony trójcy polskich wieszczów; podobnych natchnień greckich w dramatach lirycznych Swinburne'a i Wyspiańskiego.

Nie zapominajmy też, że Byron poświęcił Helladzie nie tylko pióro, ale i życie—podobnie jak jedną z ważnych pobudek dla polskich rycerzy, walczących przez półtrzecia wieku z Turkami, była niewątpliwie chęć uwolnienia Grecji z pod jarzma ottomańskiego. Nuta ta pobrzmiewa u poetów ówczesnych, zwłaszcza u Sarbiewskiego. A skoro mowa o Sarbiewskim, niepodobna pominąć faktu, że poeta ten stał się symbolem wspólnoty kultury łacińskiej Polski i Anglii, gdyż jego poezje łacińskie były czytane przez całe wieki w szkołach angielskich.

Ale oba narody odziedziczyły po Grekach i Rzymianach nie tylko skarby kulturalne w dziedzinie literatury i sztuki. Otrzymały od nich również pewien spadek ideowy, stanowiący chlubę kultury zachodniej. Trwałym bowiem dorobkiem Greków było także stworzenie typu wolnego obywatela, świadomego w pełni swych praw i obowiązków społecznych oraz korzystającego w pełni z dobrodziejstw kultury. To znaczy—stworzenia prawdziwej demokracji. Triumfem tego ustroju były zwycięstwa maratońskie i salamińskie, w których szczupłe armie wolnych obywateli greckich, wiedzących, że walczą za swe prawo do wolności, pokonały olbrzymie hordy niewolników tyrana.

Ideą wolności człowieka kojarzyła się w Grecji z ideą filantropii, t.j. miłości człowieka. Ocaliła ona wspaniały patriotyzm Greków przed wynaturzeniem go w niski szowinizm. Kazała wielkim pisarzom, jak Ajschylos i Herodot, odnosić się z szacunkiem do nieprzyjaciół narodowych, Persów, uszanować w nich człowieczeństwo.

Grecka idea filantropii znalazła warunki bujnego rozwoju na gruncie rzymskim. Wprawdzie miłość człowieka rzadko znajdowała praktyczne zastosowanie w polityce Rzymu, ale wielcy myśliciele rzymscy, ci właśnie, którzy jak Cicero kładli podwaliny pod kulturę zachodnią, pielęgnowali ową ideę gorliwie i pod nazwą "humanitas" /ludzkość/, przekazali ją przyszłym pokoleniom.

Owa ludzkość, którą tak wysławiali Cicero czy Seneka jako jedną z najwyższych zalet etycznych, to właśnie poszanowanie człowieczeństwa w człowieku. Pełnia tego człowieczeństwa w jednostce ludzkiej była ideałem owego Rzymianina, dla którego—jako dla człowieka—nic co ludzkie nie mogło być obce. Humanitaryzm jednostkowy łączył się u Cicerona z pojęciem państwa jako własności ogółu obywateli /"*est res respublica res populi*"/: to znaczy, że państwo zostało ustanowione dla dobra obywateli, zgodnie z ideologią demokratyczną, a wbrew zasadzie totalistycznej o nieograniczonej nadrzędności państwa. Ta strona ideologii demokratycznej łączy się ściśle z rzymską zasadą praworządności.

Grecka filantropia i rzymska "humanitas" zostały podniesione przez Chrystusowe przykazania miłości bliźniego do wielokrotnej potęgi i do godności głównego prawa moralnego. Tak powstały moralne podstawy kultury zachodniej, łacińskiej.

Jeżeli pozwoliłem sobie na nieco przydługie przedstawienie ich początków, to oczywiście dlatego, by tym lepiej uwidocznić, jak bardzo duch dziejów Anglii i Polski był wierny duchowi kultury łacińskiej. Wolność i humanitaryzm, demokracja i praworządność—to są przecież te ideały, którymi przede wszystkim chlubi się historia obu narodów. Podobieństwo między "*Neminem captivabimus*" a "*Habeas corpus,*" choć zbanalizowane przez propagandę, jest jednak istotne, jako przejaw wspólnego dziedzictwa duchowego. Frycz Modrzewski, żądający równości wszystkich obywateli wobec prawa, i współczesny mu król Zygmunt August, który nie chce być władcą sumień swych poddanych w dobie walk religijnych—oto wspaniałe przejawy polskiej tolerancji i demokratycznej praworządności, równie wspaniałe, jak rozwój brytyjskich urządzeń wolnościowych.

To jest właśnie wspólność istotnej kultury łacińskiej.

* * *

Ajschylos, żołnierz z pod Maratonu i twórca tragedii greckiej, stanowi symbol, jako budowniczy a zarazem obrońca kultury zachodniej. Podobna rola—twórców i obrońców—przypadła w udziale Anglii i Polsce w stosunku do wspólnego dziedzictwa. Dzisiaj rzeczywiście dominuje obowiązek walki, bo oto od jej wyniku zależy przyszłość tej kultury, której klimat duchowy jest warunkiem życia dla Polaków i Brytyjczyków.

Dlatego razem bronią jej w ciężkim trudzie pod Horacyjuszowskim hasłem: "*dulce et decorum est pro patria mori*" /słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę/, aby Ojczyzna mogła żyć. Jakże pięknie wyraził Kazimierz Wierzyński głęboki sens tej wojny o kulturę łacińską—w słowach, które /ośmielę się powiedzieć/ stosują się w równym stopniu do żołnierzy brytyjskich, co do polskich:

Bijemy się o cały świat,
Biją się polskie pułki
O Nike Samotracką,
O stare ateńskie zaułki,
O tysiące minionych lat.
O Akropol i Kapitol,
O Grecję i Rzym.
Uderza ułańskie kopyto,
Artyleryjski dym.
— — — — —
To nasz obrończy marsz
Na Via Appia.

IGNACY WIENIEWSKI

Rzecz wygłoszona na zbiorowym Wieczorze PEN Klubu Polskiego w Londynie 14.III.1942.

Afisz wykonany przez jednego z żołnierzy polskich w Z.S.R.R.



Koniec izolacjonizmu

Wypadki wojenne tak wyłącznie zaprzątają uwagę świata, że wiadomość o tym, iż konwencja republikańska w Stanach Zjednoczonych przyjęła wnioski Wendell Willkie'go zamieszczono drobnym drukiem i to nawet nie we wszystkich pismach. A jednak jest to wiadomość wagi wprost pierwszorzędnej.

Przypomnijmy sobie, jak to było po ostatniej wojnie. Projekt Ligi Narodów był projektem Woodrow Wilson'a. Traktat Wersalski w znacznej mierze był jego dziełem. Ale podczas gdy Wilson w Paryżu walczył o budowę świata powojennego i o udział Ameryki w tej budowie, w samej Ameryce przy wyborach do Kongresu zwyciężali republikanie a przy nowych wyborach prezydenckich republikanin pobił kandydata Wilsona i zasiadł w Białym Domu. Hasłem wyborczym republikanów było odrzucenie polityki zagranicznej Wilsona, był powrót—do izolacjonizmu.

Stany nie ratyfikowały Traktatu Wersalskiego. Stany nie weszły do Ligi Narodów, zadając jej tym samym od razu na wstępie najcięższy cios. Izolacjonizm był tak silny przez cały okres między dwoma wojnami, że nawet Rooseveltowi, który uzyskał wejście Stanów do Międzynarodowej Organizacji Pracy, nie udało się przeprowadzić udziału Stanów w Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości. Swój program walki z hitleryzmem Roosevelt mógł przeprowadzać powoli, krok za krokiem i wkońcu to nie Stany wypowiedziały dobrowolnie wojnę osi, ale dopiero przyjęły wojnę sobie narzuconą.

Dziś oficjalnie nie ma izolacjonizmu w Stanach. Bomby na Pearl Harbour formalnie zjednoczyły cały naród w walce aż do zwycięstwa. Dziś Stany są jednym ze sprzymierzonych 26 narodów.

Ale nie należy się łudzić, że te wszystkie elementy, które stanowiły o izolacjoniźmie amerykańskim nagle z Szawłów przemieniły się w Pawłów. Dwa typy są niebezpieczne i w czasie wojny, jako potencjalni, a częściowo i czynni "piątokolumniści." Są to przede wszystkim miliony Niemców amerykańskich, prawie w stu procentach hitleryzowanych i, przynajmniej jak dotychczas, większość Włochów wychowanych w duchu faszystowskim.

Są to dalej rodowici amerykańscy faszyści, z których część jest wprost na żołdzie państw osi, a część—tak jak to było z faszystami francuskimi — woli przegraną Ameryki od zwycięstwa demokracji.

Jest obok tego znaczna masa ludzi uczciwych, dzisiaj gotowych wszystko oddać, by przyśpieszyć zwycięstwo Stanów, ale mimo to nie ustępujących ze stanowiska, że sprawy innych kontynentów Amerykę nic nie obchodzą i nic nie powinny obchodzić. Na tych szczerych izolacjonistów propaganda osi dzisiaj działa w tym kierunku, że podkreśla, iż Ameryka powinna wszystkie swe siły skupić na walce z Japonią, która bezpośrednio Ameryce zagraża, a nie posyłać wojska i broń do Europy, czy do Rosji, których los jest mniej więcej obojętny. Tak samo umacnia się ich dziś jeszcze w przekonaniu, że po wojnie i po zwycięstwie Ameryka powinna wrócić do swego odosobnienia przedwojennego, że nie powinna się mieszać w sprawy tego beznadziejnie skłóconego kontynentu europejskiego.

Izolacjonizm i polityka izolacjonistyczna nie były bynajmniej monopolem partii republikańskiej. Wielu izolacjonistów było między konserwatywnymi demokratami południa, między farmerami Middle West, którzy, usadowieni w centrum kontynentu amerykańskiego, świata poza Stanami Zjednoczonymi nie widzą i nie chcą widzieć. Jednym z najbardziej znanych przywódców izolacjonizmu jest przecież demokratyczny senator Wheeler.

W partii demokratycznej są oni jednak w wyraźnej mniejszości. Partia ta wie zbyt dobrze, że swe utrzymanie się przy władzy w najznaczniejszej mierze zawdzięcza osobistości Franklina Roosevelta i jego polityce, wie zbyt dobrze, że do zwycięstwa w każdych przyszłych wyborach tylko Roosevelt ją może poprowadzić, i dlatego nie będzie się wyłamywała z pod jego kierownictwa.

To samo jednak stwarzało niezmiernie pociągającą sytuację dla republikanów. Republikanie mogli sobie powiedzieć, że o ile na nowo podniosą hasło izolacjonizmu to uda im się powtórzyć trick wyborów do Kongresu z roku 1918—i wyborów prezydenckich 1920. Mogli liczyć na to, że głosy na ich kandydatów oddadzą nie tylko republikanie wierni partii i jej ideałom społeczym, ale także wszyscy izolacjoniści demokratyczni.

To też leaderzy republikańscy, ustalając obecnie platformę wyborczą /w roku obecnym połowa Izby Reprezentantów i połowa senatorów podlega wyborowi/ nie podnieśli coprawda otwarcie sztandaru izolacjonizmu—na to dzisiaj jeszcze, gdy walka z Japonią i z Niemcami dopiero się zaczęła i gdy współpraca z innymi Sprzymierzonymi jest konieczna, było oczywiście za wcześnie. Ale dyplomatycznie pominęli sprawę milczeniem, by w roku nowych wyborów prezydenckich—roku 1944, który zapewne będzie już rokiem pokojowym—mieć rozwiązane ręce do walki z Rooseveltem, człowiekiem, który wciągnął Amerykę do wojny i który nadal chce ją angażować w sprawy europejskie.

Tymczasem Wendell Willkie popsuł zabawę. Wniósł na konferencję wnioski, wyraźnie stwierdzające, że Stany Zjednoczone są obowiązane wziąć udział w konferencji pokojowej nie tylko w celu przeprowadzenia swych własnych celów wojennych, ale i w celu utworzenia takiego porządku światowego, by wojny stały się niemożliwe — wnioski stwierdzające, że Stany powinny wziąć udział w przyszłej organizacji światowej, zapewniającej bezpieczeństwo zbiorowe i sprawiedliwy porządek gospodarczy.

Powtórzył więc to samo, co zrobił na konwencji, która w roku 1940 miała wyznaczyć kandydata republikańskiego na prezydenta. Wtedy zamiast przeciwstawić się polityce zagranicznej Roosevelta, jak tego chcieli magicy partyjni wyraźnie przyjął tę samą politykę bezwzględnej pomocy dla Anglii jako swoją platformę wyborczą. I tak samo jak w roku 1940 zwyciężył. Wtedy jako fuks, z którym mało się liczono uzyskał nominację na kandydata. Dzisiaj jako znany przywódca partii uzyskał to, że konferencja przyjęła jego stanowisko.

To zwycięstwo Willkie'go oczywiście dowodzi przede wszystkim, że izolacjonizm jako siła polityczna znacznie osłabł. I to samo jest już ważne. O wiele jednak ważniejsze jest to, że to zwycięstwo zapewnia Rooseveltowi jak najdalej idącą swobodę poruszeń i podczas wojny i na przyszłej konferencji pokojowej.

Ma on bowiem już obecnie pewność, że sprawa roli Stanów w odbudowie świata powojennego, udziału Stanów w przyszłej organizacji międzynarodowej nie będzie wciągnięta w sferę rozgrywek wewnętrznych, że będzie miał tę możność, której Wilson nigdy nie miał: mówienia na konferencji pokojowej w imieniu całego narodu amerykańskiego.

O tym zaś, jak decydujące znaczenie ma, że to właśnie Franklin Roosevelt będzie współodpowiedzialny i za rozwiązanie spraw europejskich i za przyszłą organizację świata powojennego, o tym w szczególności, jakie to ma znaczenie dla Polski chyba pisać nie warto.

Wendell Willkie dobrze się przysłużył sprawie demokracji.

MICHAŁ PROZOR

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1.V.—10.V. 1942

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 6	Ilość wypraw: 8	Łączną ilość samolotów: 57
	Główne cele: Hamburg, Stuttgart, Warnemünde, Nantes, St. Nazaire	
Razem od czasu przybycia do Anglii do 10.V.1942		
zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 455	Łączna ilość samolotów: 2543	

W tej dekadzie specjalny sukces, który przypadł dokładnie na święto 3-go Maja odnieśli polscy myśliwcy nocni. W nocy z 3-go na 4-go maja b.r. strącili oni w czasie nalotu niemieckiego na jedno z miast Anglii cztery Ju.88 na siedem łącznie strąconych.

Dwa bombowce niemieckie strącił jeden sierżant polski.

Szkic sytuacyjny

MADAGASKAR

Nie można nie doceniać znaczenia posunięcia brytyjskiego w stosunku do Madagaskaru. Był to ruch *pod każdym względem pożądany*. Przemyślany starannie, przeprowadzony sprawnie dowiódł, że *opłacają się tylko dobrze przygotowane wypady*. Porównanie akcji na Madagaskarze z powolną akcją *w Syrii* wskazuje, że jeżeli dobrze przygotuje się wszystko, jeżeli ma się zarówno pod dostatkiem okrętów wojennych jak lotnictwa oraz oddziałów spadochronowych, to wtedy wszystko idzie gładko.

Uderzenie na Madagaskar przedstawia się pomyślnie. Jeżeli przypomnimy sobie wypad w kierunku Dakaru, to również spostrzeżemy różnicę w metodach działania i sposobie przeprowadzenia operacji. Tym razem działały *wyłącznie* siły brytyjskie, nie użyto sił "Wolnych Francuzów" i należy pochwalić tego rodzaju rozwiązanie. Działano szybko i energicznie, co również jest zawsze wskazane, nie tracono czasu na wstępne rozmowy i pertraktacje.

Już od stycznia b.r. było rzeczą jasną, że Japończycy ostrzą sobie zęby na Madagaskar. Japoński wysłannik Oshima badał w styczniu teren w Rzymie, a potem podjęto podobne próby w Berlinie i w Vichy. Admirałowie japońscy, którzy przybyli do Vichy napewno nie zamierzali leczyć tam swojej wątroby. Japonia była jednak tak ostrożna, że nie prowadziła swoich manewrów na drodze dyplomatycznej, także Vichy, zaklinając się, że Japonia nie podjęła żadnej akcji w sprawie Madagaskaru, miało rację—ale tylko pozornie. Albowiem w rzeczywistości Japonia dobrze już namotała nici w tej sprawie.

Zajęcie Madagaskaru przez Japonię miałoby daleko sięgające skutki. Okręty podwodne państw osi mogłyby wówczas czynić wypady na Morze Czerwone a Ocean Indyjski stałby się w dużej mierze morzem japońskim. Znaczenie Suezu spadłoby natychmiast, dostawy idące do Zatoki Perskiej znalazłyby się w "krzyżowym ogniu." *Cała rachuba zaopatrzenia Bliskiego i Środkowego Wschodu znalazłaby się pod znakiem zapytania.*

W tych warunkach uczyniono rzecz słuszną. Miejmy nadzieję, że Madagaskar zostanie szybko wyzyskany i że stanie *się bazą pierwszej wielkości.*

BITWA MORSKA NA MORZU KORALOWYM

Znawcy morscy powiadają, że bitwa morska, jaka rozpoczęła się dnia 4-go maja na Morzu Koralowym, a zatem gdzieś między Australią a Wyspami Salomona, jest *największym starciem morskim od bitwy Jutlandzkiej*. Marynarka wojenna Stanów Zjd. przyjęła wyzwanie japońskie i uderzyła na poważne siły Japonii.

Istnieją domysły, zdaje się wcale dobrze uzasadnione, że *Japończycy zamierzali dokonać inwazji Nowej Kaledonii oraz Nowych Hebryd* ze swoich baz na Wyspach Salomona. Tego rodzaju przypuszczenia opierają się na tym, że Amerykanie zatopili spore *transportowce japońskie* i że posłali na dno również i lotniskowce oraz t.zw. *seaplane tender*. Wszystko to dowodzi, że Japończycy szli poważnymi siłami i że wyprawa ich nosiła wszelkie cechy *wyprawy inwazyjnej*.

Lista strat obu stron nie jest zupełna i dopiero za jakiś czas dowiemy sie jak poważne były straty obu przeciwników. Jakkolwiek przedstawiać się będzie stosunek strat, jasne jest już dzisiaj, *że marynarka amerykańska przeszła do akcji zaczepnej* i że wyszła ze swojej rezerwy. Jest to pomyślny znak, jak również pomyślnym znakiem jest rozbicie dużej siły morskiej Japonii. Zamiary inwazyjne Japonii zostały rozbite, straciła ona jednostki poważne, a jednocześnie poczuła, że *nie może krzątać się bezkarnie po Oceanie Spokojnym*. Dowiaduje się teraz, otrzymawszy cięgi na Morzu Koralowym, że Ameryka ma wiele do powiedzenia na tym Oceanie i że zagraża—*samej Japonii.*

Atak, który miał na celu okrążenie Australii, zamienił się w przeciw-uderzenie, które odsłoniło flanki samej Japonii.

ZAPOWIEDŹ OFENSYWY LETNIEJ NA RZESZĘ

Sir Archibald Sinclair, minister lotnictwa W. Brytanii, wygłosił w Birmingham przemówienie, w którym stwierdził, że *lato będzie dla Niemców ciężkie* i że ofensywa RAF'u w czasie lata—wspomagana, jak się można było domyśleć, przez aparaty amerykańskie działające z baz brytyjskich—w lecie przybierze na sile. Minister lotnictwa W. Brytanii dał do zrozumienia, że do inwazji kontynentu przez siły brytyjskie przyjdzie—*po tym właśnie łomotaniu,* jakie sprawi się Niemcom w lecie b.r.

Oczywiście, sprawa terminów jest—jak zawsze przy uczciwym myśleniu—rzeczą względną. Nie wiemy, kiedy akcja zaczepna Anglii na kontynencie będzie mogła się rozwinąć, a Sir Archibald nie dał żadnych *dokładniejszych* w tej mierze wskazań. Wydawało by się, że akcja angielska może jeszcze wypaść na ten rok, ale może być przesunięta na wiosnę r. 1943. W każdym razie jest rzeczą jasną, że Anglicy są zdecydowani dokonać uderzenia na kontynent jak i to,—i tu mają zupełną słuszność *—że można przejść do tego uderzenia dopiero wtedy, gdy Rzesza będzie potężnie przetrącona uderzeniem lotniczym i kiedy siła odporna jej ludności będzie poważnie zachwiana.*

Są to wnioski słuszne i zgadzają się one z zasadami rozsądnej strategii. Przykład Madagaskaru mówi raz jeszcze, że nie wolno ryzykować żadnego posunięcia, które nie jest przygotowane strannie, przy czym—*trzeba posiadać przewagę lokalną*. Chodzi zatem o wybranie momentu, kiedy taka przewaga będzie istnieć i kiedy szanse udania się operacji będą więcej, niż duże, będą niemalże całkowite.

ODWLEKANIE SIĘ DECYZJI

Niemcy w dalszym ciągu odwlekają decyzję uderzenia. Doniesienia jakie nadchodzą z państw neutralnych powiadają, że siły niemieckie są już "*prawie gotowe.*" Dlaczego zatem nie uderzają? Nawet jeżeli zima tegoroczna była bardzo ciężka, to jednak południe Rosji nadaje się już do działań. Na razie tylko marynarka niemiecka oraz lotnictwo Trzeciej Rzeszy usadowione w Norwegii czynią wypady na szlaki konwojów brytyjskich idących do Rosji albo z Rosji. Widać z tego, jak bardzo zależy Niemcom na tym, ażeby osłabić napływ sprzętu wojennego do Rosji.

Najwyraźniej brakuje Niemcom jakichś składników ofensywy. Najwidoczniej jeszcze muszą dociągnąć jakieś szczegóły planu. Możliwe, że brakuje im jeszcze ludzi, możliwe, że jeszcze transport nie działa tak, jak powinien. Poza tym trzeba stworzyć jeszcze moment zaskoczenia i *niespodzianki*, co nie będzie takie łatwe. Niemiecka ajencja prasowa dając sprawozdanie z spotkania w Salzburgu między Mussolinim a Hitlerem zaznaczyła, że "pewne szczegóły planu wyłuszczonego przez Hitlera zaskoczyły Mussoliniego." Przypuszczać wolno, że istotnie Hitler zdobył się na jakieś "*sensacyjne*" posunięcia, ażeby nadać swojej wiosennej—już wcale spóźnionej ofensywie—cechy nowości. Nie będzie to łatwe.

Nie wiemy dalej, czy istotnie *decyzja ostateczna w sprawie ataku na Wschodzie zapadła.* Obecność Rundstaedta we Francjii, wizyta generała Sperrle *w Portugalii* —wszystko to dowodzi, że Zachód gra dużą rolę w zainteresowaniach niemieckich dowódców. Ale z drugiej strony, jeżeli by Hitler istotnie decydował się na uderzenie na Zachodzie, to *musi mieć zapewnione tyły.* Nie może w obecnych warunkach pozwolić sobie na pozostawianie na Wschodzie mas rosyjskich, które czekają, które posiadają nowe uzbrojenie—ale które *nie wykładają swoich kart.*

NAPIĘCIE ZBLIŻA SIĘ KU KOŃCOWI

Napięcie obecne nie może trwać zbyt długo. Jest to już tylko sprawa tygodni a może tylko dni. Zawiele rzeczy się zebrało, a dalsze czekanie w Rosji wydrze Hitlerowi zbyt wiele cennego czasu. Musi mieć on przed sobą jednakże *pięć pełnych miesięcy do operacyj w Rosji.* Musi on także—tak się to dzisiaj zdaje—podjąć nie tylko próbę uderzenia na południe /jak słychać *Rommlowi* oddano pono kierownictwo akcji na Krymie z poleceniem dokonania ataku na Kaukaz/, ale również i rzucić się na Moskwę. Bez opanowania Moskwy, która jest węzłem centralnym całego systemu sowieckiego, nie ma mowy o zwycięstwie w Rosji.

Tak się dzisiaj zarysowuje sytuacja. Prorokowanie jest ciężkie, ale wydaje się, że *wysiłek jaki Niemcy zrobią*—wszystko jedno w jakim kierunku—*będzie bardzo poważny.* Wiedzą oni, że pierwsze wrażenie liczy się, ale muszą wiedzieć także, że *tym razem pierwsze wrażenie nie wystarcza.* W kampanii jaką podejmą—wszystko jedno gdzie—*muszą oni utrzymać najwyższy wysiłek przez* 5 *do* 6 *miesięcy.* Jest to straszliwa próba, przy której zatrzeszczą, jak jeszcze nigdy, wiązania Reichswehry.

Londyn, 10 maja, 1942.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

“Przetrwamy i zwyciężymy!”



Generał Władysław Anders

Odległość Taszkient—Londyn wynosi w linii powietrznej około 5,200 klm., ale w warunkach wojny linie komunikacyjne wydłużają się niepomiernie i aby przelecieć z Taszkientu do Londynu trzeba przebyć trasę dwukrotnie większą, bo prawie 10,000 klm.

Taką podróż odbył Dowódca Polskich Sił Zbrojnych w Rosji generał Władysław Anders. Ostatni etap podróży z Afryki do Londynu przebył wraz z generałem Kopańskim i Sir Stafford Crippsem, który właśnie powracał z Indii i zaprosił obu polskich generałów do swego samolotu.

Gdy 10 miesięcy temu generał Anders opuszczał więzienie sowieckie był blady, mizerny i chodził o kulach. Dzisiaj, ten żołnierz z krwi i kości chodzi nawet bez laski. Policzki się wypełniły, twarz opalona, a na zapytanie jak się czuje odpowiada krótko: “dobrze.”

Mimo woli zestawiam te słowa generała z ośmioma srebrnymi gwiazdkami na niebiesko-czarnej wstążce ponad orderami. Osiem najpiękniejszych odznaczeń żołnierskich—osiem ciężkich ran na polach bitew. Poniżej srebrnych gwiazdek—złoty i srebrny krzyż Virtuti Militari, czterokrotny Krzyż Walecznych i kilkanaście baretek innych odznaczeń.

Na pytanie o wojsku polskim w Rosji i o niełatwych warunkach, w jakich żyją tam polscy żołnierze generał Anders oświadcza:

—“Przekonałem się już wielokrotnie, że u człowieka liczą się tylko dwie rzeczy—logika i charakter.”

Dwa słowa—logika i charakter. Mieszczą one w sobie tyle istotnej treści zwłaszcza dzisiaj, kiedy życie stało się naprawdę jedną walką o byt zarówno jednostek, jak i całych narodów.

Właściwie o samym wojsku generał mówi mało. Widać od razu, że on nim żyje, on je czuje każdą kroplą swej krwi i stanowi nierozerwalną część jego całości. A więc trudno mu mówić o sobie.

Politycy, dziennikarze, znajomi, dawni żołnierze i przyjaciele generała odwiedzają go niemal bez przerwy. Czas ma wypełniony dosłownie do ostatniej minuty. Odpowiada na szereg pytań, uwag, zagadnień. Mówi spokojnie, nie zapala się.

Jeżeli już decyduje się na opisywanie stanu swej armii, to podkreśla przede wszystkim dwie rzeczy—niesłychanie wysoki poziom moralny żołnierzy i duży wzrost religijności.

W tych ciężkich warunkach zjawiska takie są jednocześnie nie tylko dodatnim objawem, ale czymś znacznie więcej. Stanowią one dowód jak dużej wartości jest podkład moralny w polskim żołnierzu, jakiej naprawdę wysokiej klasy jest ten żołnierz. To wszystko co ci ludzie przeszli nie złamało w nich głęboko tkwiących zasad i fundamentów moralnych odziedziczonych po ojcach i wyssanych z mlekiem matki. Ci ludzie przeszli już wiele, ale pozostał im nadal kręgosłup moralny najwyższej odporności i najlepsza tradycja zdrowej polskiej krwi.

Przebywając już niemal dwa lata tutaj w Anglii, czytaliśmy i słyszeliśmy dość dużo o ciężkich warunkach w jakich formowały się oddziały polskie w Rosji. Ze słów generała Andersa dowiadujemy się już tylko szczegółów, ale jak bardzo nieraz wymownych.

Oto na przykład żołnierze zrzekli się dobrowolnie raz na tydzień porcji żywnościowych, żeby tylko pomóc w wyżywieniu ludności cywilnej. Po prostu w sobotę oddziały nie pobierają nic—ani chleba, ani kaszy, ani cukru—wszystko to otrzymują starcy, kobiety i dzieci, którzy w ogóle mogą się tylko przy wojsku wyżywić, a wojsko musi na ten dzień zaoszczędzić żywność z dni poprzednich. Jeżeli wojsko odejdzie, a nie zabierze ich wszystkich ze sobą, to za miesiąc, za dwa, a najdalej za trzy, przybędzie za ogrodzeniem obozu tyle krzyży, ilu ich tutaj pozostanie.

Trudności zakupienia czegokolwiek są olbrzymie. Oficerowie i szeregowcy dostają wprawdzie uposażenie i żołd, ale praktycznie biorąc można tego w ogóle nie brać—bo co za to kupić. Funt mięsa w wolnym handlu kosztuje coprawda tylko 300 rubli /porucznik dostaje miesięcznie 1,000 rubli/—ale tego mięsa nie ma. A na przykład wieczne pióro jest rzeczą bezcenną, to znaczy, że nie ma na to ceny—bo piór nie ma.

Stan fizyczny zwłaszcza szeregowców poprawił się znacznie. Co do oficerów, to niestety poważna większość tych ludzi jest nadal nie do użycia w służbie. I znowu prosty wymowny przykład. Do jednego tylko obozu przybyło 1,020 oficerów i chociaż w stanie fizycznym okropnym, to zdawało się jednak, że są już uratowani. Ale po miesiącu 63 z nich zmarło.

Myślę o tym przez chwilę i cyfry te urastają przede mną w jakiś olbrzymi posąg, który krzyczy, woła, prosi—a potem zamiera w bezruchu, stygnie i stoi przede mną potężny wymową milczenia i chłodem szarych, grubych, kamiennych konturów. A ilu jeszcze nie jest w obozach, ilu czeka jeszcze na zwolnienie, ilu znajduje się o tysiące kilometrów od tych obozów—a o ilu wiadomo tylko tyle, że byli i żyli rok temu?—a dzisiaj . . .

I teraz rozumiem los małych dzieci, rozumiem los matek, które nie mają tym dzieciom do dania nic oprócz ciepła własnego ciała. I teraz rozumiem wiele, wiele innych rzeczy i wiem napewno, co by z nimi wszystkimi było dzisiaj, gdyby siedzący przede mną generał nie dowodził znajdującym się tam daleko Wojskiem Polskim i gdyby tego Wojska w ogóle nie było.

Patrzę na generała . . . Tam na dalekich przestrzeniach Rosji dokonane zostało dzieło, któremu równego nie dokonało żadne wojsko świata. I chyba żadna armia z wyjątkiem polskiej w takich warunkach tego by nie dokonała.

Dowódca, który siedzi przede mną miał dla swoich żołnierzy—dla biednego, głodnego, oberwanego wojska w łachmanach jedno słowo—“przetrwamy,” a żołnierze sami od siebie dorzucili do tego drugie: “i zwyciężymy!”

Siłą swej woli i mocą swego charakteru generał Anders dokonał tego, co dzisiaj stanowi wielką kartę w historii polskiego żołnierza. Bo żołnierską jest dusza generała.

“Przetrwámy i zwyciężymy”—słowa te stały się jego i ich symbolem i drogowskazem.

I przetrwali. Dzisiaj wojsko to stanowi już siłę—siłę stu tysięcy żołnierzy. Część z nich posiada pełne uzbrojenie i oporządzenie. Większość przeszła do Persji, gdzie zostanie przeorganizowana na jednostki pancerne i motorowe, bo tak jak powiedział wspaniały oficer kawalerii i ich dowódca—“husaria polska oddała swe skrzydła lotnikom, a pancerz broni pancernej.”

A ta część, która pozostała w Rosji trwa dalej—i dalej ze swoich skromnych porcji żołnierskich, które są o połowę mniejsze od brytyjskich, oszczędza przez 6 dni w tygodniu, aby w 7-ym dniu oddać swą całodzienną rację głodnym braciom i siostrom. Już choćby to tylko stanowi wymowny dowód czego są warci ci ludzie. Jednocześnie stanowi to dowód, że nie tylko wytrwają, ale tak jak zapowiedzieli to od początku—zwyciężą!

Pierwszy napis w pierwszym obozie jaki został utworzony, to były te dwa słowa: “przetrwamy i zwyciężymy!”

KAMIL BOGUMIŁ CZARNECKI

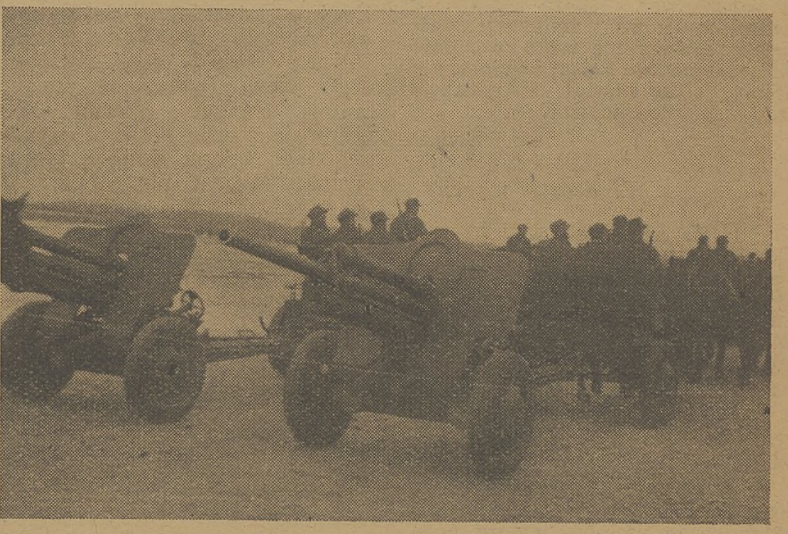
Generał dywizji Władysław Anders udzielił przed swoim wyjazdem współpracownikowi “Polski Walczącej” następującego krótkiego wywiadu na temat swoich wrażeń z pobytu na terenie W. Brytanii:

—Cieszę się bardzo, że miałem możność, choć przez krótki czas, być w Szkocji, w oddziałach polskich w Afryce ożywia również szeregi Wojska Polskiego w Szkocji. Fakt ten napełnia mnie głęboką radością, gdyż jest on dla mnie najlepszą rękojmią naszej jedności, moralnej siły i całkowitego zespolenia w walce dla jednego wspólnego nam wszystkim celu.

Żałuję niezmiernie, że krótki czas mojego pobytu na terenie Wielkiej Brytanii, nie pozwolił mi na dłuższy kontakt z żołnierzami w Szkocji, tym bardziej, że jest to, jak miałem możność stwierdzić, materiał znakomity, składający się w znacznej części z weteranów



Polska piechota w Z.S.R.R.



Polska artyleria w Z.S.R.R.

I Korpusu, gdzie było mi niezmiernie miło spotkać ogromną ilość starych przyjaciół, kolegów i byłych podkomendnych.

Miałem sposobność stwierdzić, że wspaniały duch walki o Polskę—ten sam, który jest u nas wszystkich na olbrzymich przestrzeniach Z.S.R.R. ten sam, który znalazłem w czasie mojej podróży w Brygadzie Karpackiej generała Kopańskiego oraz wśród oficerów niejednej kampanii. Znaczna część z nich to są dudzie, którzy w życiu cywilnym zdobyli wysoki cenzus inteligencji i którzy mają dorobek naukowy, a teraz pełnią trudną służbę żołnierską.

Nowoczesny materiał angielski, otrzymywany przez oddziały I Korpusu, intensywna praca wyszkoleniowa, oparta na ostatnich doświadczeniach pola walki i wreszcie duch, który ożywia jego szeregi—wszystko to czyni z tych oddziałów nowoczesną i znakomitą jednostkę bojową.

Byłem też niewymownie szczęśliwy, że miałem sposobność odwiedzić część naszych dywizjonów lotniczych — tych orląt polskich, o których dziś cały świat mówi z prawdziwym respektem, a którzy pierwsi na terenie Wielkiej Brytanii wznieśli wysoko i trzymają nadal w swoich młodych rękach sztandar niezłomnej walki o Polskę.

Przedstawiłem osobiście Naczelnemu Wodzowi i omówiłem z Nim cały szereg niezmiernie ważnych problemów, dotyczących dalszej organizacji Wojska Polskiego w Z.S.R.R. i na Środkowym Wschodzie. Decyzje powzięte dają mi podstawy dla dalszej realnej pracy.

Miałem też możność poznać premiera Winstona Churchilla, generała Brooke’a oraz szereg wybitnych ludzi ze świata wojskowego i politycznego Wielkiej Brytanii, u których bez wyjątku znalazłem żywe zrozumienie i prawdziwe zainteresowanie dla wszystkich potrzeb wojsk polskich w Z.S.R.R. i na Środkowym Wschodzie. Rozmowy z nimi będą miały również doniosłe skutki.

Wreszcie rad jestem niezmiernie, że miałem zaszczyt przedstawić się Panu Prezydentowi i poznać wszystkich członków Rządu i Rady Narodowej i wreszcie spotkać liczne grono starych przyjaciół, kolegów i znajomych, od których w czasie mojego krótkiego pobytu doznałem tyle dowodów życzliwości, pamięci i sympatii.

EUGENIUSZ HINTERHOFF

Dowódca Polskich Sił Zbrojnych m.p. 6.V.1942.
w Z. S. S. R.

Pan Porucznik Tymon Terlecki
Redaktor "Polski Walczącej"
w/m

Korzystając z mego krótkiego pobytu na terenie W. Brytanii pragnę za pośrednictwem "Polski Walczącej" przekazać wszystkim żołnierzom Polskich Sił Zbrojnych na terenie Anglii i Szkocji, serdeczne żołnierskie słowa wdzięczności za ofiarną pomoc jaką już złożyli i składają nadal za pośrednictwem tego pisma dla Polaków w Rosji.

Mogę wszystkich zapewnić, że każda najmniejsza nawet ofiara, złożona w tych ciężkich chwilach dla naszych braci i sióstr, ma nie tylko znaczenie materialne - ale o wiele głębsze znaczenie moralne.

Ta okazana pomoc stanowi również dowód naszej jedności, która jest i będzie zawsze naszą siłą.

Dowódca Polskich Sił Zbrojnych
w Z. S. S. R.
/Władysław Anders/
Generał Dywizji

Młodzież polsko-amerykańska



Zbiórka na dziedzińcu koszarów w Owen Sound

Drukujemy bez zmian tę korespondencję otrzymaną z Kanady. Gorzka i bolesna prawda jakiej daje wyraz autor korespondencji—dziennikarz i żołnierz—nie byłaby ścisła, gdybyśmy nie zrobili jednego zastrzeżenia. Za obecny stan rzeczy /napewno nie beznadziejny/—ponosimy w dużej mierze winę my sami, ponoszą winę rządy, które nie doceniały spraw emigracji zarobkowej, nie rozumiały jej potrzeb, ciężkich prób i tragedii, przez jakie musiała przechodzić, nie zdawały sobie sprawy z roli, jaką miliony Polaków przebywających poza krajem mogą odegrać w wojnie i pokoju. Zgodnie ze stałą linią pisma w tej sprawie pragnęlibyśmy, aby niniejszy artykuł pogłębił jeszcze nasz stosunek do emigracji zarobkowej. Z tą emigracją dawną—my nowa "emigracja walcząca" chcemy nie tylko wspólnie walczyć o sprawę Polski i świata, ale chcemy Polskę i świat dnia jutrzejszego wspólnie budować.

Red.

Windsor w marcu

PIERWSZE WRAŻENIA

Do Ameryki przyjechałem z radosnym biciem serca, tak zrozumiałym u Polaka, który zdołał się wydostać z pod koszmaru okupacji. To radosne bicie serca przerodziło się w entuzjazm, gdy na każdym nieomal kroku, tu za oceanem, zacząłem odnajdować Polaków i Polskę. Oto konduktor w pociągu był Polakiem, oto niespodzianie w kiosku kolejowym znalazła się polska gazeta, oto z odbiornika radiowego popłynęły polskie słowa.

Następne dni przynosiły co raz większe odkrycia — Polski w Ameryce. Cieszyło mnie wszystko: i wspaniałe polskie domy narodowe, i rozmodlone kościoły, jakby w całości przeniesione z Polski, i olbrzymie polskie przedsiębiorstwa handlowe, dziesiątki tysięcy sklepów, ba! Polskie dzielnice, a nawet polskie miasta.

Oto Hamtramck, zamieszkałe przez 300.000 Polaków, gdzie na ulicach pełnią służbę Polacy-policjanci, gdzie mayor miasta jest Polakiem, sędziowie, lekarze, adwokaci, wszędzie, na każdym kroku—Polska! Oto sąsiednie Detroit, liczące 200.000 Polaków! Oto największe skupisko Polaków w Ameryce — Chicago, gdzie ludność polska przekracza pół miliona! Buffalo, Cleveland, Pittsburgh . . .

Rzeczywistość przeszła wszelkie oczekiwania oparte na suchych cyfrach "Rocznika Statystycznego" i, przeważnie zaczerpniętych z prasy, wiadomościach. Ze zdumienien na przykład stwierdziłem, że przeszło 50 radiostacyj amerykańskich transmituje stale polskie programy, że na terenie U.S.A. ukazuje się ponad 100 polskich tygodników i dzienników!

Dziś już wiem o tym wszystkim i nie podrywam się, jak rażony prądem elektrycznym na dźwięk piosenki Chóru Dana z New Yorku, albo na serdeczny śmiech Stanisława Sielańskiego, który w radiostacji detroickiej kieruje codzienną, godzinną audycją "Echo Warszawy." Nie dziwi i nie wzrusza mnie już nawet olbrzymia reklama wspaniałego kina "Michigan," zapowiadająca w roku 1942 uroczyste wznowienie filmu "Dodek na froncie," z Dymszą w roli tytułowej. . . .

. . . To przecież jasne. W Stanach Zjednoczonych jest pięć milionów Polaków, którzy jeszcze . . . kochają Polskę n a s w ó j s p o s ó b.

"STARY KRAJ"

Polska—to jest "Stary Kraj." To jest to, o czym do dziś dnia mówią rodzice, to jest szkoła parafialna i strój krakowski, to jest "Związek Rycerzy Sobieskiego," albo "Bal serduszkowy" Koła Dziewic im. św. Cecylii. Polska—to wszystko, co jest "starokrajskie," albo co było w Starym Kraju. Czasem jest to starokrajski Mickiewicz, częściej—starokrajska kiełbasa z kapustą.

Naturalnie Stary Kraj zapożyczył niejedno od Ameryki, a Ameryka . . . zapożyczyła od Starego Kraju. Tak na przykład jest z tradycyjną, doroczną "Paradą Pułaskiego" na słynnej 5-ej Avenue w New Yorku. "*Pulaski Day*" jest świętem całego New Yorku, ba, całych Stanów, chociaż główną rolę odgrywają w nim Polacy. Parada Pułaskiego ściąga tłumy i trzeba przyznać, że jest na co patrzeć. A że w tej paradzie obok ubranej w powiewne, błękitne szaty Matki Boskiej Częstochowskiej (sic) wędrują fikające nogami *girlsy* z piszczałkami i bębnami ("*fifes and drums band*")—to już nie wina Starego Kraju, ale Ameryki.

O istotnie olbrzymim uczuciu Polonii Amerykańskiej do Starego Kraju przekonał się każdy polski żołnierz, który w mundurze z napisem "Poland" zawędrował do U.S.A. Polacy wówczas wyrastali jak z pod ziemi: w metro, autobusie, na ulicy. Każdy chciał uścisnąć rękę, usłużyć, zaprosić na "drinka."

To samo działo się i dzieje w polskich domach związkowych, na zabawach, na akademiach. Gdy z delegacją Oddziałów W.P.w Kanadzie odwiedzałem w ub. roku skupiska Polaków w U.S.A.—podróż ta przeszła wszelkie nadzieje i oczekiwania, jeżeli idzie o gościnność. Wszędzie były tłumy Polaków, wszędzie szczere uśmiechy i serdeczne, prawdziwe łzy. Wprowadzano nas na sale ze sztandarami, ściskano ręce, całowano, przedstawiano wszystkich kolejno z estrad, a po każdym nazwisku orkiestra grała "tusz."

Nic nie pomogły tłumaczenia, że nieustanne zwracanie się do nas per "nasi bohaterzy" jest co najmniej przesadne. Nazywano nas "bohaterami" i zasypywano po prostu papierosami, czekoladą, chusteczkami do nosa. Odjeżdżaliśmy zawsze z paczkami, pakami i paczuszkami, ale rzadko . . . z ochotnikiem.

Nie było to winą organizatorów akademij, ani tych wszystkich dobrych ludzi, którzy zapraszali nas do siebie, lub przyjeżdżali, tak jak przyjeżdżają do dziś dnia setkami pięknych samochodów do Windsoru. Nie było winą tych, którzy niestrudzenie, niezmordowanie, zbierali składki na Wojsko Polskie, na sprzęt, na samochody, którzy przysyłali nam swetry, szale i smakołyki, którzy wysyłają dziś tysiące paczek do Rosji.

To są . . . . "starokrajscy" Polacy. Gdyby jeszcze teraz wezwać tych wszystkich "starych emigrantów," weteranów pierwszej wojny, tych, którzy do dziś dnia przebywają sercem w Polsce—stanęliby jak jeden mąż, niezawodna, wierna gwardia "starokrajska." Gwardia, która pracuje jak może i jak umie nadal dla Polski.

. . . Ale—nie sposób przemówić już do ich dzieci, do ich synów. Niestety, nie rozumieli i nie chcą rozumieć słów naszych.

"FREE BOYS'Y."

Którzy urodzili się i wychowali w Ameryce.

"*Free boy in free country*". Oto słowa, które przeszły do historii koszar w Windsor i Owen Sound. "*Free boy*" nie chce stać na warcie, bo właśnie ma spotkanie ze swoim "*girl-friend'em*". "*Free boy*" jest obywatelem "*free country*" i jak mu się nie podoba pieczeń wołowa na obiad to weźmie swoją "*car'e*" (samochód)—i wróci do Stanów.

Mimo to . . . nie można narzekać na tych "*free boys'ów*", którzy przywędrowali do Wojska Polskiego, w ich sercach bowiem tliła się jeszcze jakaś iskierka polskości. Iskierkę tę, przy umiejętnym postępowaniu, przy zupełnie specjalnych metodach, na które szlag trafiał każdego porządnego polskiego kaprala—udało się rozdmuchać w duży, jasny płomień miłości Ojczyzny. Taki "*free boy*" stawał się powoli doskonałym żołnierzem, z niecierpliwością oczekującym chwili wyjazdu do Anglii.



Ćwiczenia polowe w Owen Sound

Niestety, znakomita większość "*free boys'ow*" wolała unikać koszar W.P. w Windsorze. Jeśli nawet niektórzy z nich nie przestali dotąd, dzięki rodzicom, mówić po polsku,to przestali m y ś l e ć i c z u ć p o p o l s k u. Owszem, chętnie wezmą udział w Paradzie Pułaskiego chętnie będą reklamować swoje "*business'y*" w polskich gazetach i polskich godzinach radiowych, chętnie na polskiej zabawie zatańczą polkę lub oberka. Nic więcej.

Pójść do polskiego wojska? A po co, jeżeli w wojsku amerykańskim dadzą i większy żołd, i więcej mundurów i maksymalne gwarancje dla rodziny? Zanim Ameryka przystąpiła do wojny szukaliśmy w sercach tych "*free boys'ow*", którzy omijali Windsor, chociażby odrobiny patriotyzmu.

"*Free boy*" pięknie ubrany, żujący gumę, obserwujący bezczelnie wszystkie dziewczęta i i dumny ze swojej "*car'y*" model 1941—chętnie by się napił z polskim żołnierzem whisky. Ale do wojska? Do koszar?

—*I am an American.*

Na to nie ma argumentu.

MŁODZIEŻ STRACONA DLA POLSKI

Pamiętam dobrze "Dzień Pułaskiego" w ubiegłym roku w New Yorku, gdy po paradach i defiladach zawędrowałem wieczorem do "*Madison Square Garden,*" gdzie śpiewał Jan Kiepura. Na największej tej, krytej arenie świata, mieszczącej 25 tysięcy ludzi, zgromadziły się tłumy Polaków. Przy wejściach i na foyer stały Polki w barwnych, krakowskich strojach. Mój mundur zwrócił od razu ich uwagę. Podbiegły do mnie i łamaną polszczyzną rozpoczęły rozmowę.

Po koncercie "Krakowianki" załadowały mnie do samochodu i powiozły jak rzadki eksponat na zabawę do Domu Polskiego.

Między jednym tańcem a drugim, zazdrośnie chroniony przez "Krakowianki" przed innymi tancerkami /nowość, polski mundur/ zacząłem powoli wypytywać je o Polskę i o ich stosunek do ziemi ojczystej.

—My nie jesteśmy Polkami—oświadczyły dobitnie.

—Jakże to?

— Jesteśmy Amerykankami.

— Czy to możliwe?—przecież rodzice, dom, polskie organizacje! Przecież nosicie nawet stroje krakowskie?—gubiłem się w argumentach i pytaniach.

Odpowiedź nie budziła wątpliwości. Mówią po polsku, bo rodzice przywykli do tego języka, ale one wolą angielski. Stroje krakowskie . . . przecież takie są ładne, barwne! To nie ma nic wspólnego. Gdy dowiedziałem się od Krakowianek ponadto, że nawet nieciekawe są Polski i nigdy nie chciałyby wyjechać z Ameryki—miałem dosyć pytań. I zabawy.

Rozmowa ta odbyła się w październiku ubiegłego roku. Potem przyszły inne. Wiele innych i w różnych miejscowościach.

Cieszyłbym się, gdyby mi ktoś powiedział dziś, tak jak to lubią mówić Polacy z Ameryki, że "pan nie zna jeszcze Polonii Amerykańskiej." Możliwe. Wiem tylko to, że ani nasze wyjazdy, ani tysiące artykułów, ani filmy, ani audycje radiowe, ani akademie, apele, wycieczki do Windsoru—nie przyniosły nam pożądanego plonu w postaci ochotników. Owszem, zdobyliśmy serca, setki tysięcy serc Polaków, którzy nie zapomnieli Polski, którzy w niej kiedyś byli, albo którzy wychowali się w niezamerykanizowanej atmosferze rodzinnej polskiego domu, gdzie ojciec i matka czujnie stali na straży polskości. Ale domów takich—niestety—nie było widocznie zbyt dużo. Wszystko rozbijało się o sakramentalne:

—*I am an American.*

Starsze pokolenie Polaków z Ameryki dało nam dużo: ofiar złożonych na rzecz armii, na rzecz Polski, na jeńców—nie spisało by się, według starego powiedzonka, "na wołowej skórze." Nie dało nam jednak ż o ł n i e r z y, bo dziś już dać n i e m o g ł o. Młodzież do niego już nie należy.

I dlatego trzeba stwierdzić rzecz smutną, ale prawdziwą: nie ma już polskiej młodzieży w Ameryce Północnej. Ani w półmilionowym Chicago, ani Buffalo, ani w Detroit. Nigdzie.

Być może, że "prawda w oczy kole." Być może, że gorzkie te słowa dotykają tematu, o "którym się nie mówi" głośno wśród Polonii w U.S.A.

I am sorry. Ale. . . nie umiem już dziś patrzeć na te sprawy z perspektywy turysty, który przed rokiem odkrywał Polskę w Ameryce. Rzeczywistość jest inna i trzeba ją oceniać po żołniersku.

Młodzieży polskiej w U.S.A. nie ma. Jest tylko młodzież amerykańska . . . polskiego pochodzenia.

RYSZARD POBÓG

Pomoc dla Polaków w Rosji: £1,488

LOTNICTWO POLSKIE W ANGLII I SZKOCJI RODAKOM W ROSJI, ROK 1942

Szanowny Panie Redaktorze,

Zechce Pan przyjąć na rzecz Polaków w Rosji £15 od grupy oficerów z R.A.F. Station Hucknall—przybyłych z Rosji.

Grupa ofic. R.A.F. St. Hucknall, przybyłych z Rosji

* * *

Z inicjatywy "Lwowskiej Fali" zebrano w czasie Akademii 3-go Maja wśród oficerów i żołnierzy tutejszej stacji lotniczej £16.0.9½ na fundusz pomocy Polakom w Rosji. Załączam czek na powyższą sumę z prośbą o przekazanie go właściwym władzom.

Kapelan Pol. Sił Powietrz. Bramcote

* * *

Pozwalam sobie przesłać na ręce Pana Redaktora £1 /jeden funt/ na fundusz pomocy Polakom w Rosji Sow.

Pilot

Przesyłam £4.5.0 zebrane wśród uczniów Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Dunalastair House, na fundusz pomocy Polakom w Rosji.

* * *

16 D.A. Mot. wysłał do P.C.K. w dniu 28.IV. br. przekaz pocztowy Nr. XZ 26016 na sumę 15 funtów na pomoc Polakom w Rosji.

Kwota ta stanowi dochód z zabawy tanecznej, urządzanej przez 16 D.A. Mot. na cel pomocy Polakom w Rosji.

Dowódca 16 D.A. Mot.

* * *

Polacy w Southfield Sanatorium przesyłają czwartą składkę w sumie £3.12.0 na rzecz Polaków w Rosji. Powyższą sumę prosimy przekazać do P.C.K. w Londynie.

* * *

Oficerowie—słuchacze 1-go Kursu Służb Etap. i Pob.—przeznaczyli na swym zebraniu z okazji zamknięcia rachunków klubu—kwotę £5.10.0 na rzecz Polaków w Rosji—którą w wykonaniu powyższej uchwały, załączając odpowiedni "Money Order" przekazuję i proszę uprzejmie o przekazanie jej za pośrednictwem poczytnego pisma W. Panów.

Z poważaniem

mjr. Józef P.—skarbnik

* * *

Przesyłam Money Order na sumę pieniężną £5 na "Pomoc dla Polaków w Rosji" dla uczczenia rocznicy urodzin mej córy Halszki, przebywającej w Kraju.

mjr. S.

* * *

Przesyłam £2 /dwa funty/ na pomoc Polakom w Rosji zamiast rozsyłania życzeń bliskim i znajomym Stanisławom w dniu ich imienin.

Zygmunt Borkowski

* * *

Proszę o przesłanie załączonego funta na fundusz pomocy Polakom w Rosji.

A.W. /Stonyhurst College/

* * *

Wobec nieprzyjęcia pieniędzy przez ks. dziekana Miodońskiego za odprawienie Mszy Swiętej w dniu 21 rocznicy urodzin syna mojego Zbigniewa, pozostałego w Kraju, przesyłam £3 na pomoc dla Polaków w Rosji.

M.L. ppłk.

* * *

Za niezwróconą por inż. S. Olsz. książkę, ofiaruję £2 na pomoc dla Polaków w Rosji.

M.L. ppłk.

* * *

Zamiast prezentu imieninowego dla siostry mojej Wiesławy pozostałej w kraju, £2 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Zdzisław Z. por. kaw.

* * *

W załączeniu przesyłam £1 na pomoc dla Polaków w Rosji.

"W.G. z S."

Szanowny Panie Redaktorze,

W odpowiedzi na kartę z dnia 27.IV br. uprzejmie Panu dziękuję za wysyłkę "Polski Walczącej" dla moich przyjaciół w Szwajcarii. Jednocześnie załączam postal order na £1 na fundusz pomocy dla Polaków w Rosji.

kpt. Z.

* * *

W załączeniu przesyłam kwotę £2 jako składkę za miesiąc marzec i kwiecień na rzecz pomocy Polakom w Rosji.

por. A.S.

* * *

W załączeniu przesyłam Money Order na sumę £4.8.2 /cztery funty, osiem szylingów i dwa pensy/ przeznaczoną na pomoc dla Polaków w Rosji, otrzymaną od Matki Przełożonej jednego z Conventów katolickich w Glasgowie.

Kierownik Ośrodka Szkolnego im. Staszica

* * *

Przesyłam w załączeniu Postal Order na sumę sh.10 /dziesięć szylingów/, przeznaczoną na pomoc Polakom w Rosji zamiast kwiatów dla pianistki Pani Zofii Włodkównej, która brała udział w akademii Polskiego Ośrodka Szkolnego w Glasgowie w dniu 3 Maja.

Kierownik Ośrodka

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £84 sh.5 d.11½ /słownie osiemdziesiąt cztery funty, pięć szylingów, jedenaście i pół pensa/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

S u m a p o w y ż s z a p o d n o s i o g ó l n ą s u m ę z e b r a n ą d o t y c h c z a s z a p o ś r e d n i c t w e m "P o l s k i W a l c z ą c e j" d o £1,488.0.10½ /s ł o w n i e t y s i ą c c z t e r y s t a o s i e m d z i e s i ą t o s i e m f u n t ó w, d z i e s i ę ć i p ó ł p e n s a/.

Wspomnienia z Kampanii Norweskiej



Stary dom norweski

VI.*

Miejscowość Bejsfiord jest położona w głębi pięknego, dzikiego fiordu o tej nazwie. Otaczają ją wysokie góry pokryte lodowcami. Dolne ich partie są porośnięte brzeziną i jodłami, między którymi sterczą granitowe turnie. Brzegi fiordu, szczególnie północny, to nieomal pionowe skały. Wzdłuż północnego brzegu biegnie droga /nieoznaczona na mapach/. Kilkanaście różnobarwnych, nieraz luksusowych will i domów pochowanych wśród skał i zieleni—to wszystko.

W samym środku miejscowości w[illegible]wych czasach był maleński c[illegible]tarzyk spalonych niemieckich aut i zepsutych dział zdjętych z okrętów. Auta i działa były zepsute z wielką dokładnością i precyzją. Prawdziwa niemiecka robota.

Ludność opowiadała potem, że tymi autami w dniu 29 maja przyjechali do Narviku niemieccy oficerowie, podpalili je, wystrugali sobie brzozowe kijki i z wielkim pośpiechem zaczęli wdrapywać się na góry kierując się ku szwedzkiej granicy.

Z naszym przybyciem znękana i udręczona ludność zaczęła napływać do swych domostw i zabierać się do roboty, aby nadrobić stracony czas. Pierwszy wrócił pastor, wysoki chudy o wyglądzie ascety człowiek o orlim i równocześnie dobrym spojrzeniu i siwych, jak śn[illegible] włosach. Jak okazało się p[illegible]j od trzech dni niemal nic nie [illegible]iał w ustach, lecz o jedzenie nie poprosił. Jednak widząc jego zgłodniały wzrok, zwrócony w stronę żołnierzy wyładowujących prowiant z kutra, zaprosiłem go do dowództwa batalionu na obiad. Pastor zaczął dziękować ze łzami w oczach, a gdy jadł, łzy kapały mu do menażki.

Rozmowa toczyła się po niemiecku. W pewnym momencie z ust pastora wydostał się wyraz:

—"Szatan, nie człowiek."

—"Jaki tam szatan"—powiedziałem—"po prostu obłąkany maniak."

—"To pan słusznie powiedział."

Po chwilowym milczeniu pastor wybuchając gniewem zaczął nieomal krzyczeć:

—"I czego on chciał od nas, co mu dał ten nasz ubogi kamienisty kraj? Zatopił całą swoją marynarkę, stracił masę materiału, pogrążył w otchłań nędzy trzy miliony Norwegów. I po co to? Komu to jest potrzebne? Naprawdę obłąkany maniak . . . On chce otoczyć Anglię. Naiwny wariat. Jest to opętanie słonia cienką pajęczyną. Węgiel z Kiruny? Ha! Ha!"—Pastor zaśmiał się ochryple.—"Przecież oni za dwa lata nie zreperują tych wszystkich szkód na kolei i w porcie, jakie wojna tu przyniosła. "Ha, ha."—Tym razem pastor roześmiał się złowieszczo—"Teraz nawet port stracili . . . Połowa tuneli wysadzona . . . A wie Pan co mnie najwięcej śmieszy i złości?"

—"Co?"

—"Ta hołota /*Schuft*/, która na skutek tysiącletniego krzyżowania się ze wszystkimi ościennymi narodami zupełnie zatraciła swe oblicze nordyjskie, śmie nam czystym Normanom i czystym Nordyjczykom prawić teorie o rasizmie."

—"Pan rozumie? Nam. Nam. Skandynawom"—krzyczał pastor.

—"Mogą rżnąć, palić, rabować, gwałcić, wywozić ostatnie majtki naszych żon i córek do swej zbójeckiej jaskini, lecz niech nie wpajają nam tego, co my mamy we krwi od tysięcy lat, a to co oni zatracili, co ma być niby łącznikiem niby między nami i w imię czego my mamy pójść razem z nimi. *Schuft*!"

—"*Schuft*!"—potwierdziłem.

Nastąpiło krótkie milczenie . . .

—"Jedno mogę panu powiedzieć, każda mogiła waszych żołnierzy poległych tu u nas jest święta. Na każdym grobie postawimy kamienny pomnik z waszym orłem. Wy, którzy chwilowo utraciliście swoją Ojczyznę, przyszliście tu, aby walczyć o naszą, tego my nigdy nie zapomnimy."

Pastor wstał.

—"Proszę mi wybaczyć! Muszę pójść w góry po żonę i dzieci, a to jest daleko."

Zaproponowałem pastorowi, aby zabrał jedzenie dla rodziny i nakarmił ją przed podróżą do domu. Pastor spojrzał na mnie i w milczeniu uścisnął mi dłoń . . .

—"Tam jest nie tylko moja rodzina, tam kilkanaście kobiet i nieletnich dzieci. One także od kilku dni żywią się zupą z kory drzewnej."

Wydałem więc rozkaz przygotować całodzienny prowiant na jedną drużynę.

Wtem odezwał się głos szpakowatego żołnierza:



Przyjaźń polsko-francusko-norweska



W jednym z miejsc postoju IV-go batalionu

—"Taż ta brzózka nie udwihnie tego furażu—wiatr dmuchnie i przewróciwszy sia. W ta pora należy sia temu człowieku pomoc. Pamiętam ja w Nowych Trokach też jeden duchowny miał żona i dzieci, dyć chyba ta sama wiara, fajny taki był, tylko broda nosił, a ten ogoliwszy sia."

—"Nie gadaj dużo, chcesz to pomóż, zabieraj jedzenie i marsz."

—"Tak jest! Jaki fasunek każe pan major zabrać, niemiecki czy francuski?

—"Pół na pół."

—"Tak jest! Winka też należy się zabrać?"

—"Winka też!"

Żonierz przygotował kilkanaście francuskich i przywiezionych z Ankenes niemieckich puszek z konserwami, powidłem, przewiesił przez siebie kilkanaście manierek z francuskim winem, zabrał kilkanaście bochenków chleba i butelkę z niemieckim reńskim winem.

—"I ty pierunie chcesz to wszystko udźwignąć?" — spytał inny żołnierz.

—"Daj połowę, pomogę."

—"Stary ułan. . ."

—"Nie pieprz tam . . . Właśnie żeś stary ułan, to nie udźwigniesz, boś wszystko na szkapie woził."

Gdy podzielili jedzenie do odniesienia, szpakowaty żołnierz podał pastorowi manierkę i powiedział mu:

—"Nu a tera jednego na strzemiannego i prowadź bialeńki do swojej żony."

Pastor wziął manierkę, odruchowo golnął potężny łyk, lecz nadal stał w zamyśleniu z opuszczoną głową.

—"Nu czegoż w ta pora zamyśliwszy sia?"—spytał go stary żołnierz po polsku.

Pastor jednak zwrócił się do mnie po niemiecku.

—"Wie pan, tam jest jedna kobieta ze złamaną nogą, a moja córka, o ile się nie mylę ma zapalenie płuc. One nie dojdą."

Żołnierz, który ciągle "piorunował," rozumiał po niemiecku, zapytał więc:

—"Skoczyć do pana porucznika?"

—"Dobrze, poproście go tu."

Po chwili przyszedł lekarz batalionu i natychmiast wyraził chęć pójścia z patrolem sanitarnym i noszami. Za kilka minut cała ekipa ruszyła. Na czele majaczyła wysoka chuda i zgarbiona postać postora. Wyszedłem na próg domu. Do uszu doleciały słowa: "*Gut polnische Soldaten. Sehr gut.*" Wtem znów odezwał się głos szpakowatego żołnierza.

—"Pamiętam ja przyjechawszy do Wilna z Mejszagoły na Boże Ciało, ksiądz biskup Michalski, pamiętam, procesja prowadził. A potym poszedszy z kolego na jednego. Fajna taka była na Kalwaryjskiej. . ."

Jednak poryw norweskiego wiatru uniósł dalsze wspomnienia z Wileńszczyzny . . .

ARNOLD JASKOWSKI

*Por. nr. 14-15, 16, 17, 18 i 19 "Polski Walczącej" z b.r.

Z konwojem

Jest pierwsza połowa kwietnia 1940 r. Noc ciemna—pochmurna. Od czasu do czasu wychyla się z poza chmur wąski sierp księżyca, ale że dziś jest w nowiu, nie świeci prawie wcale. Sprawnie a cicho wypełzamy z portu i formujemy szyk nakazany z góry. Jest nas dość pokaźny zespolik, bo dwa angielskie krążowniki i czternaście kontrtorpedowców, w tym trzy polskie: O.R.P. "Błyskawica," "Grom" i "Burza."

Ciemne sylwetki okrętów jak widma mkną po gładkiej tafli Morza Północnego, kierując się na wschód. Od czasu do czasu błyśnie tylko dyskretne światełko migacza, przekazującego rozkaz dowódcy. Okręty przygotowane do boju, oczy obserwatorów wachty bojowej pilnie wpatrują się w przestrzeń, by w razie zauważenia obcej sylwetki natychmiast zaalarmować pomost.

Utrzymanie okrętu w szyku podczas nocy nie jest rzeczą łatwą, to też naczelnik wachty uważnie obserwuje przedniego *matclota* /okręt poprzedzający/, pilnując swego miejsca.

Z nastaniem świtu przegrupowujemy się, formując szyk bardziej odpowiedni w warunkach dziennych i zaczynamy zygzakować celem utrudnienia ataku nieprzyjacielskim okrętom podwodnym. Nasz dywizjon tworzy t.zw. szyk torowy za krążownikami.

W pewnym momencie idący na końcu naszej kolumny /jeden z polskich kontrtorpedowców/ O.R.P. "Burza" sygnalizuje peryskop i wykonuje atak bombami hydrostatycznymi. Jeden z angielskich kontrtorpedowców odłącza się na pomoc "Burzy." Po wyrzuceniu kilku B.H. /bomb hydrostatycznych/ oba kontrtorpedowce wróciły na swoje miejsca. Żadne ślady na powierzchni morza, jak oliwa lub bańki powietrza, nie wskazały, by nieprzyjaciel był trafiony. Zresztą mógł to być fałszywy alarm, ale lepiej wykonać kilka ataków nie będąc w stu procentach pewnym, że się zauważyło nieprzyjacielski okręt podwodny, niż nieopatrznie wypuścić ze swych rąk jednego podwodnego korsarza.

W godzinach rannych otrzymujemy wiadomość, że dnia poprzedniego Niemcy dokonali inwazji na Norwegię, a okręty niemieckie są sygnalizowane w kilku punktach przy brzegach norweskich. Aż ręce zacieramy na myśl, że może uda się nakryć przynajmniej jedną taką grupkę Szwabów. Widocznie nasz admirał ma również taką chętkę, bo chodzimy dzień cały zmiennymi kursami w północnej części Morza Północnego.

Na noc znowu zmieniamy szyk. Morze Północne, słusznie cieszące się sławą kapryśnego, zaczyna marszczyć się i postękiwać, a na rano rozbujało się na dobre.

Od samego rana czeka nas przyjemna niespodzianka. Dołączamy do potężnego zespołu angielskiej Home Fleet z dwoma okrętami liniowymi /H.M.S. "Rodney" i "Valiant"/ na czele. Pierwszy to raz okręty Polskiej Marynarki Wojennej znalazły się w łonie tak potężnej floty. Oprócz nas barwy alianckie reprezentują również krążownik /"Emile Bertin"/ i trzy kontrtorpedowce francuskie. Doprawdy mieliśmy nadzwyczajne widowisko. Jak okiem sięgnąć, dookoła zespoły okrętów, sprawnie trzymające się wyznaczonych sobie miejsc, jak na jakiejś wspaniałej rewii. Wyobrażam sobie, ile pracy mieli oficerowie sygnałowi i sygnaliści na okręcie flagowym, nadający sygnały flagami i reflektorkami na wszystkie strony.

Niestety w tej wojnie nie da się ukryć na dalszą metę żaden ruch floty. Zoczył też nas lotnik niemiecki. Kilka okrętów oddało do natręta kilkadziesiąt strzałów, ale ten przezornie trzymał się w przyzwoitej odległości.

W ciągu tego dnia—druga niespodzianka. Otrzymujemy sygnał, że razem z angielskim kontrtorpedowcem /H.M.S. "Tartar"/ mamy odłączyć od zespołu i udać się do Norwegii po konwój. Pozbawiło nas to prawdziwej przyjemności bezpośredniego uczestnictwa w działaniach tak pięknego zespołu, jak również wątpliwej rozkoszy bezpośredniego bombardowania przez lotnictwo, czego Niemcy nie omieszkali urządzić popołudniu.

Przed wieczorem byliśmy już u pięknych, górzystych i ośnieżonych brzegów norweskich, naprzeciw Nord Fiord. Znajduje się on pomiędzy Trondhjem i Bergen, to też konwój nasz, który właśnie się formował, wyrwaliśmy wprost z paszczy smoka, gdyż oba te porty były już w rękach niemieckich.

Żmudna to jest, ale jakże ważna czynność—konwojowanie. Statki handlowe, nieprzyzwyczajone do chodzenia w szyku, z trudem trzymają się wyznaczonych miejsc. Mała szybkość sprzyja atakom nieprzyjacielskich okrętów podwodnych, a niedostateczne albo zgoła brak uzbrojenia czyni je ponętnym celem dla lotnictwa i korsarzy nadwodnych. Zadaniem konwojujących okrętów jest ustrzec statki handlowe od tych trzech niebezpieczeństw. Śmigłe kontrtorpedowce jak psy owczarskie uganiają się dookoła konwoju, węsząc za okrętami podwodnymi,- obserwując horyzont i niebo. Od czasu do czasu trzeba też podpędzić marudera, nie mogącego nadążyć za innymi. Okręty wojenne, przyzwyczajone do chodzenia dużymi szybkościami, nie lubią tej roboty.

Nasz konwój składał się z przeszło 35 statków, przeważnie skandynawskich. Oczywiście najliczniej reprezentowana była bandera norweska. Przyszło mi na myśl, że niejeden z konwojowanych pacyfistycznych Skandynawów uprzytomnił sobie zapewne jakimi dziwnymi drogami chadza fortuna; jeszcze parę dni temu chroniła ich neutralna bandera, a nad biednymi Polakami najwyżej się litowali—dzisiaj wymykają się z pułapki niemieckiej pod osłoną Polskiej Bandery i polskich dział.

W pobliżu wybrzeża angielskiego zaczęły nas dość często odwiedzać patrolujące samoloty angielskie.

W pewnej chwili idący na czele konwoju kontrtorpedowiec angielski H.M.S. "Tartar" sygnalizuje nieprzyjacielski okręt podwodny i rzuca kilka B.H. W pogoni zą nieprzyjacielem wchodzi aż pomiędzy statki konwoju i tu też rzuca swoje pigułki. Nie było to zbyt przyjemne dla najbliższych statków, które dobrze musiały odczuć siłę wybuchu B.H. Niestety nie wiemy, czy B.H. dosięgły wroga, w każdym bądź razie musiał mieć się z pyszna. Poszliśmy dalej już nie niepokojeni przez nikogo.

Nareszcie po trzech długich dobach żeglugi, wprowadziliśmy "nasze stadko" do portu przeznaczenia i ocumowawszy się do beczek, odetchnęliśmy z ulgą.

JERZY SZULAK

Wojna na morzu

WIELKA BITWA MORSKA NA MORZU KORALOWYM

Przeciwuderzenie morskie Sprzymierzonych, które przewidywaliśmy, nastąpiło. Wielka japońska flota inwazyjna, idąc z północy w eskorcie potężnej eskadry okrętów wojennych, została zaatakowana przez połączone floty: amerykańską, brytyjską i australijską na Morzu Koralowym na północ od wybrzeży kontynentu australijskiego i na południowy zachód od grupy wysp Salomona, wysp tak dobrze znanych z imienia każdemu czytelnikowi Josepha Conrada i Jacka Londona.

Pierwsza faza bitwy, która prawdopodobnie nie jest jeszcze ukończona, tylko "przerwana" na pewien czas, trwała prawie tydzień i była bardzo krwawa /od 4 do 9 maja/. Początkowe wiadomości, jak zwykle w takich wypadkach, są bardzo sprzeczne, tym bardziej, że Japończycy naumyślnie roztoczyli "zasłonę dymną fałszywych wieści," topiąc na falach radiowych swych radiostacji—okręty liniowe, krążowniki, lotniskowce i kontrtorpedowce całymi tuzinami. W tej robocie, mającej na celu zdezorientowanie przeciwnika, sekundowali Niemcy i Włosi, a wielu zawodowych strachajłów żyło przez ten tydzień w prawdziwej gorączce.

W dniu 11 maja nadeszły jednak kategoryczne zaprzeczenia oficjalne Departamentu Morskiego w Waszyngtonie i Admiralicji Brytyjskiej. Oba komunikaty twierdzą, że Japończycy NIE zatopili ani okrętu liniowego "California" /36,000 ton, budowa 1919, 12 dział 14 calowych/, ani lotniskowców: "Saratoga" /33,000 ton, 81 samolotów/ i "Yorktown" /19,900 ton, 81 samolotów/, ani też żadnego brytyjskiego okrętu liniowego /Japończycy twierdzili, że zatopili sławnego z Norwegii "Warspite"/ . . . Pomimo to jednak sądzić należy, że straty po obu stronach są poważne.

Amerykanie twierdzą, że ze swej strony marynarka Sprzymierzonych zatopiła: jeden duży lotniskowiec, jeden ciężki krążownik, jeden lekki krążownik, dziewięć kontrtorpedowców /początkowo była mowa o 2/, cztery kanonierki i dwa duże transportowce. "Nasze straty dotąd nie raportowane, są zapewne niewielkie w każdym razie napewno nie takie, jak to głosi propaganda japońska. Ponieważ nie mam zamiaru dostarczać nieprzyjacielowi potrzebnych wiadomości, nie mogę tych strat ujawniać. Powiem tylko, że bitwa na Morzu Koralowym jest naszym wielkim i pierwszym zwycięstwem" — oświadczył w Waszyngtonie pułkownik Knox, Sekretarz Stanu do Spraw Morskich.

Faktem jest, że w chwili, gdy piszę te słowa /11 maja/ Japończycy wycofali się i dali pole Sprzymierzonym. Samoloty amerykańskie i australijskie atakują dalej okręty japońskie, które częściowo schroniły się w zatokach wysp Archipelagu Luisiadow.

Piloci, którzy brali udział w wielkiej bitwie na Morzu Koralowym, twierdzą, że flota japońska, składająca się z transportowców i dużej ilości okrętów eskortujących, była największą razem zebraną flotą, widzianą od czasu inwazji Jawy. Całkowite straty nieprzyjaciela dotąd są niewiadome. Należy jednak przypuszczać, że do ciężkich strat na morzu dochodzą bardzo ciężkie straty w samolotach i wodno-płatowcach. Wyżsi oficerowie stale unikają powtarzania słowa "zwycięstwo." Jeden z nich oświadczył:

"Dopóki nie mamy dokładnego zestawienia strat po obu stronach, dopóty trudno mówić o przegranej, czy o zwycięstwie. Jedno jest pewne: japońska flota inwazyjna została odparta."

Drugie jest pewne również: była to największa bitwa od czasów bitwy Jutlandzkiej i była to również pierwsza w historii poważna bitwa marynarki amerykańskiej.

MADAGASKAR

Druga poważna operacja morsko-lądowa na Wschodniej Półkuli to zajęcie bazy morskiej San Diego Suarez na północy Madagaskaru. W ten sposób Sprzymierzeni powoli i systematycznie biorą w strategiczne kleszcze Japończyków. Rezultaty bitwy na Morzu Koralowym wzmacniają nadzieję, że kleszcze te będą dość silne, aby się zacisnąć.

Obłędny opór Francuzów "Vichy" na Madagaskarze dla ocalenia "honoru" dawno, bo jeszcze w Bordeaux, zagubionego, nie jest zdaje się zbyt wielkiej wartości militarnej. Czy jednak wypadki te nie popchną Vichy na dno zdrady i czy marynarka francuska nie zostanie użyta do służby panom niemieckim—to inna sprawa. W kołach morskich panuje przekonanie, że lepsze byłoby to od niepewności, która nie tylko zmusza do czujności, lecz również więzi poważne siły na "obserwacji."

W każdym razie Ameryka rozpoczęła już środki zapobiegawcze w stosunku do wysp archipelagu zachodnio-indyjskiego, żądając od gubernatora Martyniki, Gwadelupy i zarządu Gujany Francuskiej zerwania z Vichy i całkowitej "neutralności" . . . Wiadomo jednak, że na Morzu Karaibskim pokazały się niemieckie okręty podwodne.

BITWA MORSKA WŚRÓD LODÓW ARKTYCZNYCH

Tymczasem niemiecka flota siedzi stale w Trondhjem, pomimo ostrych bombardowań powietrznych R.A.F. Flota ta kąsze dotkliwie, wysyłając mniejsze siły na szlaki zaopatrywania Rosji. Prawie każdy konwój Sprzymierzonych, który dąży do wolnego od lodów Murmańska, musi się przebijać przez mniej czy bardziej silną zaporę niemiecką.

W zeszłym tygodniu rozegrała się nawet większa bitwa na Oceanie Lodowatym, w której poważny konwój brytyjsko-amerykański, dążący do Murmańska był atakowany cztery dni przez niemieckie okręty podwodne, przez samoloty i kontrtorpedowce. Walka była bardzo gorąca, jednakże 90% transportu dotarło na miejsce przeznaczenia. Niemcy stracili jeden konrtorpedowiec i najmniej 3 samoloty dalekiego zasięgu, drugi k.t. niemiecki ciężko uszkodzono. Ze strony brytyjskiej zginął krążownik "Edinburgh" /10,000 ton/. Został on storpedowany przez niemiecki okręt podwodny. Próbowano go ocalić, holując przez czas dłuższy, lecz wobec bardzo wzburzonego morza i złej widzialności musiano go w rezultacie zatopić, gdy na drugi dzień dostał drugą torpedę niemiecką.

AMERYKANIE NA MORZU ŚRÓDZIEMNYM

Do Londynu przybył w charakterze dowódcy amerykańskich sił morskich na wodach europejskich admirał Stark. Ujawnił on, że na Morzu Śródziemnym znajdują się okręty amerykańskie. Wiadomość ta została podana prawdopodobnie dla dobitniejszego zamanifestowania wobec Vichy, że Ameryka nie ma zamiaru bawić się w żadne układy z "łatwymi oportunistami zdrady," jak nazwał Francuzów "współpracujących z Niemcami" "*New York Herald*."

SPRZYMIERZENI ATAKUJĄ NA MORZU

Jak z tego krótkiego przeglądu widać, wszędzie, poza akcją okrętów podwodnych na Atlantyku, Sprzymierzeni przechodzą na morzu do ofensywy. Bez względu na wynik poszczególnych mniejszych starć—przewaga Sprzymierzonych na oceanach jest tak druzgocąca, że rezultaty nie powinny dla nikogo być wątpliwe. Sprzymierzeni zwyciężą i Sprzymierzeni MUSZĄ zwyciężyć.

PODNIESIENIE BANDERY NA NOWYM POLSKIM OKRĘCIE WOJENNYM

Polska Marynarka Wojenna powiększyła się o jeden nowiutki kontrtorpedowiec, brat "Krakowiaka" i "Kujawiaka." Jest to O.R.P. "Ślązak," na którym w ostatnich dniach kwietnia została podniesiona bandera polska.

BOHDAN PAWŁOWICZ

Bez black-outu

Lubię Londyn. Ile razy jestem w tym mieście odnajduję zawsze coś nowego . . . między naszymi. Londyn bez Polaków straciłby dla mnie wiele. Tym razem odkryłem "typa" z gatunku wyznawców "negacji pospolitej," która przyjęła się teraz wśród nas i w pustych słowach na drodze do nonsensu gubi nie tylko rozsądek, ale i poczucie humoru.

Spotkałem go u Lyonsa w piwnicy, zagłębionego w płytkim talerzu z olbrzymią porcją sałatek; obok pienił się duży "Lager," chleb w koszyku czekał na konsumcję "bez ograniczeń." Pan Goryczka—tak go nazwijmy—poznał rodaka po naszywkach tytularnego kaprala /to ja—hear, hear/ i zaprosił do stołu. Z pełną porcją sałatki "w twarzy" wskazał na stół bogato zastawiony i powiedział:

—"Widzi pan? Trzeci rok! Skandal panie! Oni nie wiedzą, co to wojna. Skandal!"

Po czym ułożył sobie na talerzu piramidkę z rybek i groszku, nasmarował brytyjski wojenny ciemny chleb wcale dobrym national-masłem, chrupnął, mlasnął apetycznie i łyknąwszy haust piwa, desperacko rozłożył ręce:

—"Tak nie można, panie szanowny. Trzeba mieć oczy i patrzeć—patrzeć. Trzeci rok wojny, a tutaj sałatki, rybki, piwka, wymysły."

Patrzyłem, ale na niego. Kelner przyniósł w apetycznej blaszanej ryneczce pieczeń wołową. Pan Goryczka podniósł pokrywę i w obłoku pachnącej pary powiedział:

—„No. I oni chcą wygrać wojnę? Phi!"

Całą złość wyładował na ziemniakach i marchewce, łykając je żywcem bez krajania. W przerwach żucia bełkotał:

—"Imperium się trzęsie. Indie, panie szanowny. Crips. Pan rozumie? A tutaj pieczenie, wołowinki. Nie mam słów!"

Grzecznie uśmiechnięty kelner postawił przed nim zamówiony pudding daktylowy.

—"Daktyle? Hm. Widzi pan? Ile w tym jest strat morskich, ile ofiar marynarzy? Daktyl, zwyczajny daktyl, czy pan się nad tym zastanowił?"

Dramatycznym ruchem zbliżył do siebie "date-pudding"—po czym westchnął:

—"Widzi pan tych marynarzy pijanych w kącie sali? Teraz, teraz. I oni chcą wygrać wojnę?!"

Próbowałem tłumaczyć łagodnie:

—Ależ panie Goryczko, przecież to właśnie owi marynarze przywieźli daktyle, które pan łaskawie rąbniesz za chwilę. Może byli w niebezpieczeństwie? Może czekali na tę chwilę urlopu? Cóż złego, drogi panie Goryczko, że w Londynie zabawią się parę dni i wypiją trochę ginu?"

Goryczka huknął pięścią w stół:

—"Hańba panie! Hańba! Imperium jako takie . . . ."—tu poczerwieniał, zakrztusił się pestką daktylową. Precyzyjnie wyjął ją palcami z granic języka i trzonowych ząbków, cisnął na talerz i zawołał:

—"Pestek nawet nie wybiorą z daktyla. No! I oni chcą wygrać wojnę?!"

Opanowałem się, ale nie wytrzymałem:

—"Panie Goryczko, dlaczego pan ciągle mówi: "Oni"? Przecież jeżeli "oni" wygrają to i my wygramy. Wspólny business. A czy przez "oni" rozumie pan także i Amerykę?"

Goryczka zaperzył się:

—"A pewnie, pewnie. My to my. Oni to oni. Ameryka powinna złapać za mordę cały interes."

To powiedziawszy złapał kufel piwa za ucho i wychylił do dna. Był niewyczerpany w radach, pomysłach, w sugestiach:

—"Oni się powinni uczyć od nas, panie B. Freblówka, freblówka powtarzam. Tu trzeba mieć panie—puknął się w czoło—tu! Głowa na karku. Coffee, please, but more sugar. Not black, no, yes, white, please—more milk yes—milk."

Kelner, rutynowany znawca naszych rodaków przyniósł przezornie podwójny cukier i podwójny dzbanuszek mleka. Pan Goryczka zapalił cygaro "Havana" i robiąc kółka z dymu mówił:

—"Sam pan widzi, co ja będę panu mówił? Cukrem szafują panie dobrodzieju. Mleko, rzekomo racjonowane, a taki bęcwał podaje do stołu tyle tego, jakby wojny nie było! To jest ograniczenie? Skandal, panie! I oni chcą wygrać wojnę?!"

Świerzbiała mnie ręka, by wziąć dzbanuszek i rozbić razem z mleczkiem na ograniczonym, zracjonowanym łbie pana Goryczki. Ograniczyłem się jednak do uwagi:

—"Pan przecież wie o tym, drogi panie Goryczko, że istnieją pewne ograniczenia cukrowe i mleczne, dlaczego więc żąda pan dodatkowych racyj i dlaczego od siebie nie zacznie pan wygrywania tej wojny?"

Goryczka zbladł ze złości i syknął:

—"A czy to moja sprawa? Ja już się za nich biłem! /Gdzie i kiedy przemilczał dyskretnie./ Teraz niech oni za nas trochę tego, panie dobrodzieju. Ale ja na miejscu Churchilla to bym "Im" pokazał, co to jest wojna . . ."

Zacząłem tracić orientację:

—"Komu?"

—"Im. Anglikańcom. Ja bym im dał "po krzyżach," panie. Piją, żreją, "holidują." Czy pan wie, że mój fryzjer zamyka stale we czwartek o 1-szej w południe? I oni chcą wygrać wojnę?! Ja panu mówię, panie B., "oni" przehandlowali Singapore, przegapili "Gneisenaua," teraz zawalili Indie. Te weekendy, panie, te ogonki przed kinami. Imperium się chwieje, panie, a oni w takiej chwili mają głowę do puddingów? Ich trzeba z góry. Jak by "on" przeciw "nim," to "my" przeciw "niemu," ale "my" "im" pokażemy, żeby "oni" to wiedzieli, że i "my."

Zgubiłem się zupełnie. Nie wiedziałem już, kto przeciw komu i dlaczego kogo mamy "po krzyżach," jak przyjdzie co do czego i w ogóle? O aliantach mówiliśmy jak o wrogach, o naszych sprawach jak o cudzych. Z pod puddingu daktylowego wyłaziło na tacy nasze poczucie małowartościowości, zdobiące się w piórka nadludzkiego sprytu i pompatycznego doświadczenia. Gdzieś na spodzie dobrze osłodzonej filiżanki kawy kolonialnej, przywiezionej przez pijanego marynarza z kąta sali, czaiła się koszmarna nuta jakiejś niepojętej, idiotycznej satysfakcji duchowego autosadysty, która towarzyszyła niektórym słowom pana Goryczki, takim n.p. jak "Singapore," "Gneisenau," "Indie."

Matołku, z czego się cieszysz?—oto pytanie niewypowiedziane, które cisnęło się gwałtem na usta. Chciałem powiedzieć mu wiele o dyscyplinie moralnej ludności brytyjskiej, o wzbudzeniu koniecznej wiary i zaufania w nas do typu "gentlemana," dla wartości jego słowa, jego obietnicy. Chciałem wyliczyć przykłady wytrzymałości i odwagi Brytyjczyków, chciałem mówić o spokoju, opanowaniu, o pogodzie ducha jako podstawowych warunkach do wygrania takiej właśnie wojny. Wreszcie chciałem mu powiedzieć coś nie coś o dalekich planach, które snują "oni" naiwni, leniwi, szykując dla naszego Kraju już teraz zapasy i magazyny pierwszej pomocy żywnościowej po wojnie. Uderzyłem jednak inaczej:

—"A co pan myśli, panie Goryczka, o lotniczej ofensywie brytyjskiej?"

Goryczka machnął ręką:

—"I pan w to wierzy? Leci tam kilka maszyn i rzucają ulotki pewnie. Lipa, lipa! Do tego trzeba mieć głowę, panie, a oni mają głowę zajętą weekendami."

—"Rzeczywiście "angielska sobota" jeszcze nie zupełnie zniknęła z horyzontu, ale co to ma wspólnego z bombardowaniem? W fabrykach nie świętują, w lotnictwie też, więc niech się pan zastanowi, panie Goryczko."

—"Panie B. Albo te wypady na teren Francji, te "comediantos," czy jak tam? To farsa, panie dobrodzieju. Gęby ciemne, pantofle nocne na nogach. No. I oni chcą wygrać wojnę?!"

Kelner przyniósł "czek." Pan Goryczka nałożył okulary, długo studiował rachunek, ulubionym polskim obyczajem sprawdzając palcem każdą pozycję przy współpracy nad podziw cierpliwego kelnera, wreszcie gestem kontrolera tramwajowego akceptował sumę ogólną, wyjął funciaka, wręczył kelnerowi, a mnie pokazał "czek" z tragicznym wyrazem twarzy:

—"Taki papier na rachunki! Skandal! Wojna panie, a oni z fasonem! Przehandlują nas, mówię panu, przehandlują nas! Ograniczenia papierowe robią, zbierają jak ostatnie dziady każdy bilet autobusowy, a tu taki papier na rachunki! Pan widzi? I oni chcą wygrać wojnę!?"—To rzekłszy podarł rachunek na strzępy, na kawałeczki, by "salvage" brytyjski nie doznał od niego poparcia absolutnie w żadnej formie.

Ta negacja wszystkich i wszystkiego zaczęła mnie poważnie nużyć. Irytacja zmieniła się w rodzaj współczucia dla niewątpliwie mocno nerwowo wyczerpanego człowieka. Może na dnie tego przeczenia drzemała jakaś ukryta tęsknota? Może jakiś nie[illegible]wiedziany ból i zawód? Może nostalgia objawiła się w takiej formie przedziwnej, klasycznej dla pewnego typu ludzi? Bardzo możliwe. Im dłużej z nim mówiłem tym więcej czułem się zmęczony. Jakże on musiał się z tym męczyć. Było mi go żal.

—"Dokąd pan teraz idzie?"—zapytałem go po wyjściu z lokalu.

—"Pójdę do kina. Patrz pan jaki ogonek! Skandal! Tyle ludzi. Ile by to było rąk roboczych w fabryce?"—powiedział i stanął w ostatniej dwójce tradycyjnego "queue." Pożegnałem wtedy pana, drogi panie Goryczko, ale winien jestem panu jedną krótką autentyczną opowieść o najmłodszych Brytyjczykach:

Mój przyjaciel Staszek mieszka w domku maszynisty kolejowego, który ma synka. Mały George liczy 10 lat. Przed kilkoma dniami George dowiedział się, że "Stanley" ma dwóch synków i córeczkę daleko, bardzo daleko, że może można by sprowadzić dzieci tutaj, ale to kosztowna historia. "Very expensive" mówił Stanley smutnym głosem pokazując Georgowi fotografie swoich dzieciaków. Na nalegania malca wymienił pierwszą lepszą sumę 90 funtów, potrzebnych dla sprowadzenia całej trójki. Ot tak, aby coś powiedzieć—jak mówi się do dziecka. Mały George przeprosił go na chwilę, poszedł do kuchni, porozmawiał z matką maszyniściną i przyniósł zdziwionemu "Stanleyowi" swoją książeczkę oszczędnościową, na którą złożyli mu rodzice . . . 30 funtów. George powiedział prosto i szczerze:

—"I am very sorry, Stanley, nie mam 90 funtów, mam tylko 30. Weź je ode mnie i sprowadź sobie . . . jedno dziecko" . . .

Stanley pochylił się nad tą dziecinną książeczką czekową dodając do 30 funtów wiele swoich łez i oddał ją Georgowi.

Takie są "ich" dzieci. I oni chcą wygrać wojnę?

WIKTOR BUDZYŃSKI

Z życia obozów

Marynarz wśród orłów

Bawię na krótkim urlopie "*somewhere in middle England*" w starej historycznej mieścinie angielskiej, pamiętającej jeszcze czasy rzymskie i oglądam pamiątkowe zabytki, z których miejscowość ta jest słynna.

Pora popołudniowa. Chodzę po starym murze obronnym, po którym ongiś przechadzali się Rzymianie. Wchłaniam pełnymi płucami świeże powietrze, zapach kwiatów, trawy i drzew. Wszystko to tak rzadkie jest dla nas marynarzy, przebywających na morzu lub w zadymionym porcie pełnym gwizdów syren i zgrzytów dźwigów.

Mijający mnie przechodnie oglądają się dyskretnie, zachodząc zapewne w głowę jakiej też mogę być narodowości, gdyż my polscy marynarze nie nosimy naszywki "Poland." Wchodzę na główne arterie miasta i widzę, że budzę zaciekawienie swoim mundurem. W duszy mam radość, taką jaką ma odkrywca będący pierwszy w jakimś nieznanym miejscu, gdyż sądziłem że jestem pierwszym Polakiem w tych stronach, tak dalekich od głównych szlaków komunikacyjnych. Jak się później okaże, byłem w błędzie i obecnie zaczynam bardzo wątpić czy jest jakiekolwiek miejsce w Wielkiej Brytanii gdzieby nie było Polaków.

Na ulicach gwarno i rojno, przeważnie wojsko, lotnictwo i dzielne kobiety z WAAF-u, które pomimo munduru i twardego [illegible]a wojskowego nie utraciły nic [illegible]wej kobiecości i posiadają swój swoisty czar, tak miły dla oka marynarza pozbawionego przez długie tygodnie kobiecego towarzystwa.

Przyjemnie jest obserwować kobiety, tak te w mundurze jak i te, które są w cywilu, lecz kiszki marsza grają, więc decyduję się wejść do kawiarni na "*cup of tea.*"

W kawiarni dużo gości; znajduję wolny stoliczek i niedługo jestem obsłużony, lecz kelner wraca po chwili, pytając dyskretnie jakiej jestem narodowości gdyż panie opodal siedzące chciałyby wiedzieć skąd pochodzę. Oj, ciekawości kobieca, jesteś wszędzie jednakowa i ciekawość trzeba ukarać, więc mówię, że pochodzę z Salwadoru. Kelner, który nie bardzo wiedział gdzie ta republika leży, chce się upewnić i pyta się: "*Is that British*"? "*Of course*"—pada moja odpowiedź. Panie zadowolone z otrzymanej informacji, obserwują mnie dyskretnie, a ja się śmieję z wyrządzonego im kawału.

Lecz że z natury nie jestem mściwy, więc po chwili podchodzę do nich, przepraszając za żart i wyjaśniam, że jestem Polakiem. Panie śmieją się, i proszą do śniadania przy ich stoliku. Po chwili jesteśmy w dobrej komitywie, jak starzy znajomi, rozmowa toczy się na ogólne tematy, aż przeskakujemy na temat Polski. Jedną z pań pyta mnie czy widziałem się z tutejszymi lotnikami polskimi.

Masz tu babo kaftan, ja święcie wierzyłem, że jestem pierwszym Polakiem w tych stronach, a tymczasem tu są inni przede mną. Z rozmowy wnioskuję, że Polacy mają powodzenie u płci nadobnej i mają opinię gentlemanów. Jedna z pań wyjaśnia mi, że aczkolwiek z Polakami nie stykała się jeszcze bliżej, ale widziała lotnika polskiego, całującego jedną panią w rękę a to jest "*so very nice.*" Za długo jestem w Anglii by całować w ręke, więc głowię się, jak tu wyjść z tej opresji: przy pożegnaniu nie całować w rękę, co jest tak "*very nice*" a jednocześnie zasłużyć na imię gentlemana.

Z opresji ratuje mnie polska mowa, którą słyszę za sobą, odwracam się i widzę wchodzących dwóch pilotów polskich. Zdumieni jesteśmy niespodziewanym spotkaniem marynarza z lotnikiem, gdyż zażyłość tych dwu broni datuje się jeszcze z Polski. Przepraszam panie i kieruję się do naszych lotników, witając się z nimi serdecznie. Oblewamy naszą znajomość kawą, bo bary jeszcze zamknięte a i tak niewiadomo czy oprócz piwa będzie można coś dostać, gdyż "*Whisky is very scarce to get.*" Pytania padają jak błyskawice, trudno na nie



jednym słowem odpowiedzieć. Dowiaduję się, że stacjonowani są na pobliskim lotnisku w charakterze oblatywaczy maszyn.

Pracę swą traktują lekko, jako nieciekawą, lecz wiem, że jest to praca nad wyraz ciężka, do której bierze się najlepszych pilotów. Są bardzo powściągliwi i skromni za co bardziej ich jeszcze podziwiam.

Rozmowa toczy się na temat przeszłości: ucieczka z Polski, wędrówka przez obozy, znowu ucieczka, później wędrówka przez kraje bałkańskie, Francja, upadek Francji i przyjazd do Wielkiej Brytanii. Historia tak charakterystyczna dla tylu tysięcy Polaków na wygnaniu. Później walki na tutejszym terenie z nieprzyjacielem w powietrzu, w czasie których wróg odczuł, że jednak Polska "jeszcze nie zginęła, póki my żyjemy."

Lotnicy dopytują się także o moje przeżycia i o naszą działalność na morzu. Co im tu opowiedzieć? Przecież moja historia nie jest ciekawa a konwojowanie jest takie nudne. Lecz zrewanżować się trzeba, więc opowiadam im o obronie Gdyni do dnia poddania jej, o ucieczce jachtem do Szwecji, miłej opiece Szwedów, którzy okazali się najlepszymi przyjaciółmi, o wyprowadzeniu polskiego statku z Sztokholmu do Anglii, o wstąpieniu do Marynarki Wojennej. Później był Narwik, Calais, patrolowanie i polowania na łodzie podwodne i t.d.

Przy, pogawędce czas mija tak szybko, że zanim się spostrzegłem już była szósta i czas na pociąg. Chcę się pożegnać lecz oni nawet słyszeć o tym nie chcą, więc poddaję się. Nie śpieszy mi się, mam urlop, chociaż krótki.

Decydujemy się jechać do "*campu*" na dancing. Przejeżdżamy autobusem przez malowniczą okolicę i po pół godzinie jesteśmy w "*campie.*"

Oczom się wierzyć nie chce, by tak duże budynki były bezpieczne przed nieprzyjacielem, ale już wiadomo, że "*Spitfire'y*" i "*Huricany*" mają swoją wymowę, która Niemcom nie bardzo do gustu przypada. W powietrzu okropny szum motorów, aż uszy bolą. Na lotnisku cała masa samolotów; jedne piękne, zgrabne o ślicznych liniach opływowych, maszyny bojowe, inne zaś niezgrabne i małe—to maszyny szkolne. Podchodzimy do jednej maszyny. Kolega wyjaśnia mi, że to amerykański bombowiec. Kolega mój tak czule opowiada o tej maszynie, że widzę, iż jest w niej zakochany.

Kierujemy swe kroki do kasyna, gdzie dancing w całej pełni. Młode rafistki i młodzi rafiści z roześmianymi twarzami bawią się wesoło. Rzucamy się w wir zabawy, gdyż w tak miłym towarzystwie warto się bawić, przecież życie tak krótkie i tak piękne, dzisiaj żyjemy a jutro umieramy, a kto wie czy nadarzy się druga taka sposobność. W przerwach koledzy przedstawiają mnie swoim kolegom i koleżankom. Miła to młodzież, kogo tu nie ma; są Amerykanie, Kanadyjczycy, Australijczycy, Nowo Funlandczycy, Nowo Zelandczycy no i Polacy.

Wieczór upłynął na żartach i tańcach niespostrzeżenie i już koniec zabawy. Lecz bar kasynowy jeszcze otwarty, i tam idziemy oblać zawarte znajomości. Jakkolwiek nie jestem amatorem mocnych trunków, lecz w tym towarzystwie niesposób było odmówić, a że mocną mam głowę, więc marynarską reputację dobrze podtrzymałem; marynarska duma okazała się silniejsza od whisky i ginu.

Już jest dawno po północy gdy opuszczamy kasyno. Trzeba wstać wcześnie by zdążyć na pociąg. Przyjaciele opiekują się mną, jak bratem i prowadzą do swojego pokoju.

Pokoik czysty, dwa łóżka, szafa, stolik, trzy krzesła i umywalka oto całe umeblowanie; skromne to ale miłe. Mnie wydaje się niemal komfortem, gdyż nam marynarzom nawet marzyć nie wolno o takiej wygodzie. Kładziemy się spać i o siódmej rano budzą mnie.

W głowie szum jeszcze od alkoholu i nie bardzo chce się wyjść z ciepłego łóżka ale trzeba, więc ubieramy się i idziemy na śniadanie. Po śniadaniu żegnam się z jednym kolegą, który ma służbę od rana, z drugim zaś śpieszę na dworzec. Na głównym placu dzielny RAF ćwiczy gimnastykę poranną i musztrę. Ostatnim spojrzeniem żegnam to miejsce, gdzie tak wesoło się zabawiłem i gdzie tyle przyjaciół sobie pozyskałem.

Stacyjka mała wśród olbrzymich tych budynków, wygląda jak zabawka dla dzieci. Pociąg nadjeżdża i trzeba się pożegnać z przyjacielem. Markotno nam obu, lecz trudno, obowiązki nas wzywają, każdy z nas musi wypełnić to, co do niego należy. Zamieniam ostatni uścisk ręki z przyjacielem i pociąg rusza.

Dziękuję Wam przyjaciele za wasze dobre serca, którešcie mi okazali. Dziękuję Ci Albercie a szczególnie Tobie Antosiu, porywaczu serc niewieścich, bo chociaż jestem mężczyzną, lecz porwałeś serce moje swoją szczerością i dobrocią. Nie wiem czy się kiedykolwiek jeszcze spotkamy. Jedno jest życzenie moje, by te Wasze orle skrzydła poniosły Was do wolnej ojczyzny, do naszych braci, sióstr i rodzin, gdziebyście dołączyli siły swe do wspólnej pracy nad odbudową naszej ojczyzny, wolnej i drogiej nam wszystkim jednako.

EDWARD SKRZYPEK

Polskie okręty w Kanadzie

Zaczął się normalny kołowrotek wacht. Stałem przy swoim [illegible]ie i klnąłem niecenzurowanymi [illegible]ami sztorm, który od samej Szkocji oblewał nas strugami słonej wody /Brr! Jakże to paskudne!/, jakby chciał pokazać, że już rozpoczął swój sezon zimowy. Jeszcze niecały miesiąc temu człowiek ostatnie spodnie z czegoś tam chciał ściągnąć, tak było gorąco na Śródziemnym. A teraz wszystkie swetry i szale—to jeszcze za mało. A po wachcie zlizuję sól z warg, popijam *tea* wieczorną, by przed snem pogadać z Felkiem o wspólnej, płomiennowłosej *sweetheart.*

Już trzeci dzień minął, a tu ani rusz nie chcą zawracać. Kiwa się "Garland," "Piorunem" też buja, jakby zupełnie o równowadze zapomniał. Ale . . . jedziemy dalej. Nagle rozeszła się plotka, że to do . . Kanady!

Wypadło by poświęcić tej miarodajnej instytucji, jaką jest plotka na okręcie parę słów. Przecież nie ma wyjścia na morze, by nie chodziły słuchy przynajmniej o Gibraltarze lub Islandii, jeśli nie o Singapore. Plotka urozmaica jednostajność konwoju. A że się potem okazuje to wszystko nieprawdą—to zawsze można się pocieszyć: może za następnym razem. A "następny raz" dla "Pioruna" to przyszłość bardzo, bardzo bliska.

Ale jakże tym razem nie wierzyć, gdy po paru dniach "Piorun" w St. Johns w Nowej Funlandii zakotwiczył. A zastępca i porucznik-lekarz całkiem na serio o Halifaxie gadali. Zresztą gadali to co zawsze, że niby "nowy port, propaganda, tajemnica wojskowa a każdy matros to ambasador."

Ha! Ładny ze mnie ambasador kiedy złamanego pensa nie mam przy duszy! Ale uspakajają mnie słowa zastępcy o kochanych dolarach. /Kochany miało być przy zastępcy!/: "Okręt postara się wypłacić załodze zaliczkę w dolarach."

Hurrra!!

Niejeden już myśli, czy by się w Kanadzie na ten czas nie ożenić. Zawsze to taniej wyjdzie.

Odkotwiczamy z Nowej Funlandii. Już tylko delfini skok do Halifax'u. Pogoda się poprawiła i płyniemy wcale przyjemnie. A rano już widzimy wejście do portu. Wchodzimy do kanału i dobijamy do "Garlanda," który już z dala jest widoczny z biało-czerwoną banderą na rufie.

Zakotwiczyliśmy jakby nigdy nic. Posprzątaliśmy okręt jak normalnie /może jeszcze bardziej starannie/ i . . . czekamy. W południe mamy iść na ląd. Jest ładna, słoneczna październikowa niedziela. Każdy ma uśmiechnięty pysk na myśl o Kanadzie i o dolarach, które zaraz przyjadą.

Już wiemy, że w niedzielę wszystko otwarte. Można zjeść i wypić. A kina otworzą o północy. W niedzielę zamknięte, ale w poniedziałek o północy otworzą.

Bierzemy dolary. Takie wąskie, długie papierki, tym tylko podobne do angielskich pieniędzy, że tak samo, a może jeszcze szybciej się rozchodzą.

Miasto wita nas pociesznymi tramwajami. Małe, drewniane, miłe domki stoją szeregiem przy dość nielicznych ulicach Halifax'u. I zato mnóstwo aut. Auta stoją przy każdym domu, jedno przy drugim. Nawet garaży na tyle aut nie ma.

Trzeba przekonać się o prawdzie słów Fiedlera: czy Kanada naprawdę pachnie żywicą?

W tym celu, któregoś dnia wywieźli nas z Halifax'u do jakiejś małej wioski. Oglądaliśmy po drodze dość dużo jezior rozsypanych po dość dziewiczym lesie. Żywicy nie było czuć, ale zato zjedliśmy trochę zakazanego w Szkocji owocu, jak banan lub jabłko i ruszyliśmy z powrotem do Halifax'u.

A w Halifax'ie czekała na nas prohibicja. Ciekawa ta prohibicja—wcale miły wynalazek. Ponieważ w Nowej Szkocji jest prohibicja, nie można kupić wódki. A więc piło się za darmo. Otwarli gościnne podwoje z darmowym dla Polaków piwem. A komu było mało, mógł się urządzić prywatnie. Byle tylko nie korzystał z uprzejmości patrolki marynarskiej, która chciała odwozić na okręt bez kosztów. Polacy wolą taksówką!

Dziewczynki były miłe. Poznało się je w café, w dance-hall'ach, w kinach—wszędzie. Odnosiły się do nas serdecznie. Bawiliśmy się na kolorowo. Bo spełniło się powiedzenie, że "Polak murzynkę . . ."—a resztę niech dokończą ci z Pioruna i Garlanda. Nawet nie trzeba, było jechać na Madagaskar.

Każdy znalazł sobie jakąś Betty, Jean lub Katty—białą lub czarną, a nawet żółtą /jak choćby Joseph/ piękność. Nigdy nie miałem pod tym względem specjalnych aspiracyj. Wystarczyła mi blada twarz kanadyjskiej girl. Poznałem ją w ballroom'ie. Starałem się być bardzo opanowanym. Właściwy atak przypuściłem gdy wyszliśmy. Choć black-out'u nie ma, ale było wystarczająco ciemno. Nawet najmłodszy z marynarzy wie, że w nocnym spotkaniu marynarka ma większe szanse, bo można bliżej podejść. I to nietylko wtedy, gdy tropi się Bismarcka.

Były i pocieszne epizody. Wystartował co poniektóry—słusznie uważając Kanadę za ziemię obiecaną—na zakupy, ale nieraz angielszczyzny zabraknie i zamiast wody kolońskiej kupił ktoś dwa duże flakony lakieru do paznokci. Co z nim zrobi—nie wiem. Na rok do pedicure mu wystarczy. Miały z czego śmiać się panny w perfumerii.

Kłopot był nieraz przy kupnie damskiej koszulki lub pończoszek, lecz bardziej się biedny *sailor* krępował niż panna, która pokazując biustniki, objaśniała który jest lepszy i efektowniejszy i dlaczego . . . aż matros nogami przebierał.

Mnie na szczęście odpadły te sprawunki. Nie jestem żonaty, jak Pan Bóg i regulamin Polskiej Marynarki matrosowi przykazał.

Nie wiem dlaczego, ale tak już jest, że polskie okręty stale wygrywają mecze piłki nożnej. Choć bez treningu, choć w ostatniej chwili złożyli skład, ale na zaproszenie *Royal Canadian Navy* wlepili jej 9 do 0. Aż mnie, biednemu widzowi, było niemiło. Przecież tacy mili są ci gospodarze. Ale za to prooopaganda!!!

Wdzięczni za wynik urządzili nam wieczór kino i poprosili na *cup of tea.* W kinie czekała nas niespodzianka. Nie wolno palić. A już każdy przyzwyczaił się kurzyć przez cały program. Odbiliśmy to sobie smrodząc w café "wonnym" cygarem pod kotlet wieprzowy, a nie *beef* lub *fish chips'a,* jak "u nas" w Szkocji.

Dzień mijał za dniem jak bajka o whisky, kiełbasie, kotlecie wieprzowym, ogórku kiszonym i zaczarowanej królewnie, która choć miała nieraz czarną buzię, uważała szkockie kissy za rzecz zupełnie niewystarczającą. Żyć i nie umierać w tej Kanadzie.

Ale cóż, w sam raz w rocznicę podniesienia polskiej bandery na "Piorunie" przyszła na molo orkiestra. Zagrali raz i drugi i trzeci i "*Roll out the barrel*" też. Wiedzieliśmy, że to już trzeba *roll out.* A potem wolno, z namaszczeniem zagrali hymn "Jeszcze Polska nie zginęła." Tak wolno i uroczyście, jak nigdy w Polsce "Mazurka Dąbrowskiego" nie grano.

Okręty polskie rzuciły cumy.



WIK

W sprawie rodzin wojskowych w Z.S.R.R.

Poprzednie cztery komunikaty były rozsyłane imiennie wszystkim tym, którzy zarejestrowali—zgodnie z ogłoszonymi rozkazami—w Biurze dla Spraw Rodzin Wojskowych swe rodziny, wywiezione w głąb Rosji Sowieckiej. Wobec trudności technicznych, imienne rozsyłanie komunikatów zostaje na przyszłość wstrzymane. Komunikat będzie dołączany do rozkazów Dowództw a nadto w wyciągach ogłaszany w "Polsce Walczącej."

I.—SYTUACJA POLAKÓW WYWIEZIONYCH W GŁĄB ROSJI.

A.—Ogólna sytuacja.

Polacy wywiezieni w głąb Rosji Sowieckiej zostali rozmieszczeni bądź w obozach jeńców, bądź też rozesłani do więzień i obozów pracy, bądź wreszcie rozproszeni po całej europejskiej i azjatyckiej Rosji na t.zw. wolnym osiedleniu.

Takich znanych skupisk polskich było na terenie Rosji około 180. Większe zgęszczenia tych skupisk zauważyć można było trzy, a mianowicie:

1/ w Rosji europejskiej na północ od Moskwy aż po Archangielsk.

2/ na środkowym Uralu i

3/ w t.zw. Kazakstanie Syberyjskim.

Po zawarciu polsko-rosyjskiego układu w dniu 29.VIII. roku 1941 zaczął się odruchowy pęd ku wydobyciu się z dotychczasowych warunków. Część osiedlonych w głębi Rosji Polaków zerwała się i zaczęła jechać do miast, garnąć się do większych skupisk lub ośrodków nowopowstającego wojska polskiego, gdzie spodziewała się znaleźć oparcie, pomoc, a niejednokrotnie swoich najbliższych.

Chcąc opanować trudności i objąć opieką możliwie wszystkich, ambasada Polska rozesłała w teren w jesieni roku 1941 znaczną ilość delegatów, z zadaniem udzielania doraźnej pomocy w skupiskach i na węzłach kolejowych. Jak z otrzymanych ostatnio raportów Ambasady i sprawozdań przybyłych z Rosji działaczy polskich widać, samorzutny ruch zdołano już opanować i skierować zorganizowanymi prądami ku rejonowi między morzem Aralskim, a granicą zachodnią chińskiej prowincji Sinkiang. Jest to rozległy kraj o cieplejszym klimacie, gdzie władze polskie starają się zorganizować możliwe warunki bytu rodzinom ściąganym z północy.

B.—Ilość i stan Polaków wywiezionych w głąb Rosji.

Ilość wywiezionych oceniano pierwotnie od 1,300,000 do 1.800,000 osób. Ostatnio Ambasada skłania się raczej do tej niższej granicy, doliczywszy się z raportów delegatów około miliona, przy konieczności brania pewnej nadwyżki na tych, którzy są obecnie jeszcze w ruchu i zmieniają miejsce osiedlenia.

Do dnia 1.I.1942 r. ustalono ogółem adresy i zarejestrowano 2,223 rodzin wojskowych w ilości 6,669 osób, wywiezionych w głąb Rosji Sowieckiej. Liczba ustalonych adresów powoli, lecz stale wzrasta. Znaczna część tych adresów dotyczy rodzin, które nie są poszukiwane przez osoby przebywające na terenie Anglii. Nasze placówki oceniają ogólnie ilość rodzin wojskowych zesłanych na 20,000.

Stan zbiedzenia i wyczerpania jest wielki. Trzeba się liczyć, że znaczny procent wysiedlonych, w niektórych okręgach do 60%, nie jest zdolny do pracy i wymaga leczenia i opieki.

Natomiast stan moralny i poziom napięcia duchowego i patriotycznego są wysokie. Wynika to zgodnie z relacyj wszystkich działaczy polskich, przybyłych ostatnio z Rosji.

C.—Władze Polskie.

Władzami polskimi w zakresie opieki nad obywatelami polskimi na terenie Rosji są:

1/ Ambasador R.P. w Kujbyszewie,

2/ Attaché Wojskowy przy Ambasadzie R.P.,

3/ Główna delegatura Ambasady R.P. dla Spraw Opieki,

4/ Delegaci Ambasady w terenie,

5/ Biuro Opieki przy Dowództwie Polskich Sił Zbrojnych.

Główna delegatura Ambasady była do niedawna w Taszkencie, obecnie jest w Samarkandzie. Ponadto, w stolicach republik i obłasti /okręgów/ wyznaczeni zostali delegaci naszej Ambasady, a w poszczególnych rejonach mężowie zaufania z pośród poważniejszych Polaków, wreszcie Ambasada wysyła t.zw. delegatów objazdowych. Organizacja ta ma na celu zapewnić opiekę i pomoc osiedlonym w danych rejonach lub też przejeżdżającym przez nie grupom.

D.—Zaopatrzenie i pomoc materiałowa.

Rząd polski uzyskał i przeznaczył no pomoc materialną dla wywiezionych do Rosji kredyt £300,000. Z tego kredytu Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej zakupiło i wysłało dotychczas do Rosji w roku 1941 i w pierwszym kwartale 1942 roku:

1/ *Żywność.*—Do października 1941 r. wysyłano z Anglii żywności za £20,000.—Obecnie zakupuje się i wysyła do Rosji zapasy żywności z Persji, Indji i Egiptu, jak np. ostatnio zakupione 1,000 ton ryżu w Persji. W Indiach dokonuje zakupu, za znaczne sumy, wedle dyspozycji Ambasady R.P. Brytyjskie Rządowe Tow. Zakupu i wysyła żywność wprost do Rosji. Równocześnie zakupuje się obecnie z osobnego kredytu w Ameryce żywność w stanie skondensowanym, w puszkach. Żywność ta jest ekspediowana do Rosji każdym wysłanym transportem.

2/ *Ubrania, odzież.* — Wysyłano z Anglii masowo do grudnia ub.r. W tym czasie zakupiono odzieży, płaszczy, ubrań, bielizny, skarpetek, swetrów oraz koców i butów za £250,000.—Obecnie idą masowo ubrania również z Ameryki, gdzie uzyskano kredyt na te cele na zasadzie "Lease and Lend Bill." Możność dostaw tych wszystkich przedmiotów zależy naturalnie od przelotności transportów kolejowych i okrętowych. Największą też troską naszych organów jest przepchanie tego zaopatrzenia przez pełne innego służbowego tonażu linie. Jednakże drogi tych dostaw zostały już należycie przetarte tak na północy jak na południu.

3/ *Leki.*—Wysłano dotychczas z Anglii i Ameryki znaczne ilości lekarstw. Obecnie dalsze zakupy czyni się wszędzie, gdzie jeszcze lekarstwa są do nabycia, a więc: Na Bliskim Wschodzie, w Beyruth, Cairo, Bombaju i Teheranie. Główny jednak dopływ jest nadal z Ameryki.

Duże kłopoty są ze szczepionkami. Te są do nabycia tylko jeszcze w Ameryce. Ambasada uzyskała pewne ich kontyngenty do dyspozycji naczelnego lekarza Ambasady. Amerykański Czerwony Krzyż dotychczas wstępu na terytorium Rosji Sow. nie uzyskał.

4/ *Pomoc wojska dla zesłańców.*—Jako pierwsza większa odradzająca się organizacja i siła polska na terenie Sowietów, stało się wojsko polskie od razu ośrodkiem, do którego zaczęła płynąć nie tylko młodzież męska, nie tylko ochotnicy do szeregów, ale rodziny wojskowych i w ogóle cywilni ze wszystkich stron Sowietów. Wskutek tego wojsko było zmuszone od pierwszej chwili swego istnienia organizować pomoc w wyżywieniu, rozmieszczeniu a nawet i zasiłkach pieniężnych dla znacznych ilości Polaków, przybyłych w okolice swego rejonu. Wygospodarowano część porcyj żywnościowych, opodatkowano się na ten cel i w ten sposób zdołano przetrwać pierwszy najcięższy okres.

Dotacja Biura dla Spraw Rodzin Wojskowych w Londynie z funduszu koleżeńskiego dla Attaché Wojskowego w Kujbyszewie i Biura Opieki przy Dowództwie P.S.Zbr. na cele pomocy rodzinom wojskowych wynosiła do końca stycznia b.r. Rbs. 1,390,000. Pomoc ze strony organów wojskowych miała w roku 1941 decydujące znaczenie, ponieważ uruchomioną została najwcześniej, zanim mogła dotrzeć do Rosji i być zorganizowaną pomoc z innych źródeł.

II.—POSZUKIWANIA I EWIDENCJA.

1/ Celem wdrożenia poszukiwania rodziny wojskowego na terenie Z.S.R.R. należy podać do Biura dla Spraw Rodzin Wojskowych /bardzo czytelnie/:

a/ Nazwisko, imię, stopień wojskowy i miejsce pobytu /w miarę posiadania, dokładny adres/ wojskowego, którego rodzina jest poszukiwana,

b/ nazwisko, imię /dla kobiet zamężnych również nazwisko panieńskie, w pierwszym przypadku, bez końcówki żeńskiej, z wyjątkiem nazwisk, kończących się na -ska/ wywiezionych członków rodziny, podając przy każdym nazwisku

—pokrewieństwo do wojskowego, wymienionego w punkcie a/ (żona, córka, ojciec i t.p.)

—miejsce i datę urodzenia (w braku danych przybliżony wiek),

c/ w wypadku posiadania: ostatnio znany adres w Z.S.R.R. poszukiwanej rodziny. Adresy podawać zasadniczo literami łacińskimi i w miarę znajomości języka literami rosyjskimi,

d/ nazwisko, imię, stopień wojskowy i dokładny adres zgłaszającego, jeśli zgłaszający nie jest osobą, wymienioną w punkcie a/.

Uwaga: Brak danych, potrzebnych do zidentyfikowania poszukiwanych osób utrudnia lub uniemożliwia poszukiwanie. Brak poszczególnych danych należy wyraźnie zaznaczać.

2/ Każda z poszukiwanych osób jest zgłaszana przez Biuro dla Spraw Rodzin Wojskowych w naszej placówce w Z.S.R.R. celem jej odszukania względnie sprawdzenia podanych adresów, oraz objęcia zgłoszonych rodzin opieką, organizowaną przez nasze placówki w Z.S.R.R.

3/ Placówka nasza po sprawdzeniu, czy poszukiwanej rodziny nie ma między już zarejestrowanymi u niej osobami, podejmuje poszukiwania wysyłając telegramy pod podanym przez nas adresem, oraz do naszego przedstawiciela w rejonie, gdzie poszukiwana osoba przebywa. Poszukiwanie osób bez podanego adresu odbywa się przez wysłanie listy poszukiwanych w teren do armii i do delegatów Ambasady R.P.

Ponadto wszyscy wywiezieni w głąb Rosji wzywani są różnymi drogami i sposobami do rejestrowania się w naszych placówkach i delegaturach.

4/ Placówka nasza przysyła do Biura dla Spraw Rodzin Wojskowych ustalone adresy rodzin wojskowych, poszukiwanych przez nas, poczym Biuro informuje o tym zainteresowanych bądź indywidualnymi listami, bądź w drodze publikowania wykazów w "Polsce Walczącej." Pierwsze listy adresów rodzin wojskowych w Z.S.R.R. były ogłoszone w "Polsce Walczącej" /nr. 9, 16, 17, 18 z b.r./. Administracja "Polski Walczącej" dostarczy każdego z tych numerów po nadesłaniu znaczków pocztowych pod jej adresem.

5/ W wypadkach, w których adresy poszukiwanych osób nie zostały jeszcze ustalone, Biuro dla Spraw Rodzin Wojskowych nie jest w możności, z powodu trudności technicznych, odpowiadać na ponawiane zapytanie: czy lub dlaczego dana rodzina nie została jeszcze odnaleziona, gdyż samo jeszcze tej wiadomości nie posiada.

6/ Poszukiwania na terenie Z.S.R.R. natrafiają na cały szereg trudności spowodowanych dużą ilością wywiezionych osób, olbrzymimi przestrzeniami, na których rodziny nasze są rozrzucone, trudnościami pocztowymi i komunikacyjnymi, ciągłymi jeszcze zmianami miejsc pobytu, brakiem jakiejkolwiek ewidencji wywiezionych osób, która dopiero po utworzeniu polskich placówek z dużym nakładem pracy została zapoczątkowana.

III.—KORESPONDENCJA.

Z Rosją Sowiecką możliwe jest utrzymywanie normalnego kontaktu za pośrednictwem urzędów pocztowych i telegraficznych. Można wysyłać listy zwykłe, polecone i telegramy. Najbardziej celowe zdają się być tak zwane "listy-telegramy" /ELT—European Letter Telegram/ po angielsku lub francusku z opłaconą odpowiedzią. Telegramy takie przyjmie każdy urząd pocztowy w Wielkiej Brytanii. W razie trudności w nadaniu telegramu przy bardziej zawiłych adresach, należy próbować podać imię, nazwisko, pełny znany sobie adres a na końcu adresu /jako odbiorczy urząd telegraficzny/ najbliższe wielkie miasto.

IV.—PRZEKAZYWANIE INDYWIDUALNEJ POMOCY.

1/ Pomoc pieniężna.

Za pośrednictwem Biura dla Spraw Rodzin Wojskowych można wysyłać pomoc pieniężną do Z.S.R.R. wyłącznie dla rodzin wojskowych, t.j. dla *żony, nieletnich dzieci, rodziców i nieletniego rodzeństwa wojskowego*—w okrągłych sumach funtowych, podzielonych przez 5, a zatem £5, 10, 15 i t.d.

Dla zapewnienia sprawnego załatwienia zlecenia nie należy łączyć z prośbą o przekazanie pieniędzy żadnych innych spraw ani zapytań.

Od 1-go kwietnia 1942 r. należy dołączać na koszty telegramów kwotę sh.5 za przesłanie sumy £5, przy sumach większych, po sh.2,6 za każde następne £5. W tym celu należy przesyłać te sumy przez Postal Order pod adresem "Biuro dla Spraw Rodzin Wojskowych—Polish Military Families Office, Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1."

Zlecenia są przekazywane telegraficznie do naszej placówki w Z.S.R.R., która z kolei przesyła pieniądze pod wskazanymi adresami za pośrednictwem sowieckich urzędów pocztowych lub banku. Odpowiedzialność za te pieniądze może istnieć jedynie w ramach odpowiednich przepisów, obowiązujących w Sowietach, t.zn., że w razie niedoręczenia pieniędzy placówka nasza będzie dochodzić praw do nich w ramach przepisów sowieckich.

Adresy odbiorców są sprawdzane przez naszą placówkę w Z.S.R.R. Nie mniej, prosząc o przekazanie pieniędzy, należy we własnym interesie, dla uniknięcia omyłek—*każdorazowo* podawać *bardzo czytelnie*:

a/ Nazwisko, *pełne* imię, stopień wojskowy i adres nadawcy,

b/ nazwisko, imię, nazwisko panieńskie i adres odbiorcy (literami łacińskimi),

c/ jeśli odbiorca nie jest żoną, dzieckiem, ojcem lub matką nadawcy, podać imię, stopień wojskowy i miejsce pobytu męża, ojca czy syna odbiorcy.

Prośby, nie odpowiadające powyższym wskazówkom, nie będą uwzględniane.

Pieniądze przeznaczone do przekazania do Z.S.R.R. powinny wpłynąć do Biura dla Spraw Rodzin Wojskowych najdalej do 10-go każdego miesiąca.

2/ Pomoc w naturze.

Paczki z odzieżą.—Kto chce wysłać indywidualną paczkę dla rodziny do Rosji, musi albo:

a/ Zestawić ją z zebranych lub zakupionych przez siebie przedmiotów i przesłać do Polskiego Czerwonego Krzyża pod adresem 34, Belgrave Square, London, S.W.1. Przesyłać można odzież, bieliznę, lekarstwa, drobną galanterię. Ilość wysyłanych paczek nie jest ograniczona. Waga paczki nie może przekraczać 10 funtów. Paczka powinna być obszyta w płótno, na którym należy podać poprawnie po rosyjsku napisane: imię, otczestwo, nazwisko i dokładny adres odbiorcy oraz imię i nazwisko nadawcy (bez adresu). Nie znając dokładnie języka rosyjskiego, należy dołączyć do paczki kartkę z adresem po polsku, paczka zostanie prawidłowo zaadresowana przez PCK. Ponadto do paczki musi być dołączony na oddzielnym arkuszu szczegółowy wykaz zawartości paczki (po polsku), własnoręcznie podpisany przez nadawcę, który jest odpowiedzialny wobec organów kontrolnych za zgodność spisu z rzeczywistą zawartością paczki. P.C.K. zastrzega sobie prawo ewentualnej kontroli nadsyłanych paczek ponieważ ponosi całkowitą odpowiedzialność za zawartość transportu. Listów i pieniędzy do paczek wkładać nie wolno. Przygotowaną w ten sposób paczkę należy opakować w papier i przysłać do P.C.K. Albo,

b/ Prosić pisemnie Polski Czerwony Krzyż o pomoc w skompletowaniu z zapasów P.C.K. takiej indywidualnej paczki z odzieżą za opłatą od £2 w zwyż, zależnie od przedmiotów, które wysyłający chce dołączyć do paczki. P.C.K., rozpatrzywszy prośbę i życzenia petenta, zawiadomi petenta o możliwości wysłania takiej paczki, poda kwotę jaką petent ma przesłać.

Standaryzowanych paczek z odzieżą nową, zakupowaną na angielskim rynku przez Biuro dla Spraw Rodzin Wojskowych już wysyłać obecnie nie można, z powodu ograniczeń zakupu, wprowadzonych przez władze angielskie.

Paczki z żywnością.—Może być wysyłana tylko zakupiona lub zebrana przez wysyłającego żywność sucha, niepsująca się, więc przede wszystkim żywność w puszkach, kakao, owomaltyna, owoce suszone, kawa i t.p. Możliwe też wysyłanie leków suchych w opakowaniu, tabletkach. Puszki należy owinąć w wiórki drzewne, obszyć wszystko w płótno workowe, a na wierzch w płótno żaglowe lub mocny drelich. Wskazówki co do wagi, dokładnego adresowania i spisów kontrolnych obowiązują takie same jak przy paczkach z odzieżą. Tak zestawione, opakowane i zaadresowane paczki należy opakować w papier i przesłać do P.C.K., adres podany wyżej.

V.—EWAKUACJA RODZIN Z ROSJI.

Zasadniczo żołnierzom pełniącym czynną służbę wojskową na terenie Wielkiej Brytanii i Bliskiego Wschodu, wolno czynić starania o ewakuację ich rodzin z Rosji do Anglii lub na inny teren brytyjski.

Podanie trzeba wnosić *drogą służbową* pod adresem: Ministerstwo Spraw Wojskowych, Biuro dla Spraw Rodzin Wojskowych, Vandon House, Vandon Street, London, S.W.1, prosząc o wizę brytyjską do danego kraju. Potem trzeba uzyskać wizę wyjazdową rosyjską, wizy przejazdowe (tranzytowe) Perską, Iraku i Palestyńską i opłacić przejazd rodziny kolejami i okrętem, wreszcie zapewnić rodzinie utrzymanie w miejscu stałego pobytu. Szczegółowe wytyczne i informacje co do formy wnoszenia podań o wizy i kosztów przejazdu zawiera Instrukcja o Ewakuacji Rodzin, o którą zainteresowani ojcowie rodzin mogą prosić przez swoje Dowództwo.

Trzeba być przygotowanym na to, że starania o ewakuację są długie i żmudne. Państwa tranzytowe obawiają się przejazdu zesłańców, bronią się przed wydawaniem wiz, zapowiadają kwarantanny i t.p. Dojazdy, np. dojazd z rejonu zesłań do Krasnowodzka a potem morzem Kaspijskim do portu Pahlevi a stamtąd do Teheranu, trudny. Porty nieprzygotowane, drogi i transporty nieutarte, koszty duże.

Placówki nasze w Teheranie, Chargé d'Affaires w Iraku i Konsulat w Jerozolimie zostały uprzedzone i będą udzielać pomocy na trasie i etapach ewakuacji.

VI.—POMOC ZASIŁKOWA.

Akcja pomocy zasiłkowej rodzinom wojskowych na terenie Rosji została ujęta w następujące zasady:

1/ Żołnierze Polskich Sił Zbrojnych w Rosji utrzymują rodziny swoje tam przebywające z własnych poborów.

2/ Oficerowie i starsi podoficerowie armii polskiej na terenie Wielkiej Brytanii i na Bliskim Wschodzie, mający rodziny w Rosji, mają utrzymywać je z własnych poborów, przesyłając pieniądze za pośrednictwem Biura dla Spraw Rodzin Wojskowych.

3/ Rodziny wojskowych samotne t.j. żołnierzy poległych, zmarłych, będących w niewoli, internowanych lub pozostałych w kraju, tudzież rodziny szeregowców i podoficerów młodszych czynnych w W.P. w Wielkiej Brytanii i na Bliskim Wschodzie, korzystają z pomocy zasiłkowej z funduszów koleżeńskich, Biura dla Spraw Rodzin Wojskowych, względnie skarbowych. Zasiłki te wynoszą miesięcznie 150 Rbs. na głowę rodziny i 50 Rbs. na każde dziecko, nie więcej jednakowoż jak 300 Rbs. miesięcznie na jedną rodzinę.

Na cele zasiłkowe dla zesłańców cywilnych otrzymuje Ambasada R.P. w Rosji obecnie 10 milionów rubli miesięcznie ze Skarbu.

VII.—WYJAŚNIENIA I INFORMACJE.

1/ Do kogo należy kierować podania i pisma.

Do zakresu pracy Biura dla Spraw Rodzin Wojskowych należą sprawy dotyczące wyłącznie rodziny wojskowego, do której zalicza się: *żonę, nieletnie dzieci, rodziców i nieletnie rodzeństwo* wojskowego. Rodzice i rodzeństwo żony wojskowego nie są rodziną wojskowego. Przez "wojskowego" rozumie się żołnierzy czynnie służących dzisiaj w szeregach Wojska Polskiego, jak również tych wszystkich, którzy we wrześniu roku 1939 w szeregach armii polskiej się znajdowali na skutek mobilizacji.

W sprawie osób cywilnych należy zwracać się do Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, 62/64, Brook Street, London, W.1.

W sprawach b. jeńców wojennych i osób wojskowych na terenie Rosji należy się zwracać do Polskiego Czerwonego Krzyża, 34, Belgrave Square, London, S.W.1.

2/ Dokładność w podawaniu adresów i dat.

We własnym interesie, celem uniknięcia nieporozumień lub pomyłek, o które jest łatwo przy masowości zagadnienia i istnieniu podobnych lub identycznych nazwisk—konieczne jest w korespondencji:

a/ podawanie wszelkich nazwisk, imion, adresów *bardzo czytelnie*—najlepiej na maszynie lub starannie ręcznie drukowanymi literami.

b/ podawanie *każdorazowo* swego pełnego imienia, nazwiska, stopnia wojskowego i dokładnego adresu.

Konieczne jest również podawanie zmian swego adresu.

3/ Apel.

Ponieważ fundusze publiczne w stosunku do istotnych potrzeb są niewystarczające, konieczne jest, by każdy w miarę swych możliwości śpieszył z pomocą, czy to wysyłając indywidualną pomoc swoim bliskim, jedną z wyżej podanych dróg, czy też składając datki pieniężne na ogólny fundusz pomocy, który jest przekazywany naszym placówkom w Z.S.R.R. do rozdziału między najbardziej potrzebujących.

Dary w naturze należy kierować do Polskiego Czerwonego Krzyża 34, Belgrave Square, London, S.W.1.

Datki pieniężne należy przesyłać przekazem pocztowym pod adresem Biura dla Spraw Rodzin Wojskowych, 1, Vandon Street, London, S.W.1—na konto darów. W zbiórce pieniędzy na ten cel pośredniczy także "Polska Walcząca," która potwierdza każdą przesyłkę w dziale "Pomoc dla Polaków w Rosji."

SPIS RZECZY

Ignacy Wieniewski: Jesteśmy dziećmi jednej kultury.—*Michał Prozor:* Koniec izolacjonizmu.—*Zbigniew Grabowski:* Szkic sytuacyjny.—*K. B. Czarnecki:* "Przetrwamy i zwyciężymy."—*Eugeniusz Hinterhoff:* Rozmowa z gen. Andersem.—List gen. Andersa do "Polski Walczącej."—*Ryszard Pobóg:* Młodzież polsko-amerykańska. — Pomoc dla Polaków w Rosji.—*Arnold Jaskowski:* Wspomnienia z kampanii norweskiej /IV/.—*Jerzy Szulak:* Z konwojem.—*Bohdan Pawłowicz:* Wojna na morzu.—*Wiktor Budzyński:* Bez black-outu.—Z życia obozów.—*Edward Skrzypek:* Marynarz wśród orłów.—*Wik:* Okręty polskie w Kanadzie.—W sprawie rodzin wojskowych w Z.S.R.R.—Fotografie.—Rysunek.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.